


**PISMO DLA RODZIN.**

№ 34. Warszawa, dnia 14 (26) Sierpnia 1875 roku. Rok 11.

CENA PRENUMERATY

| Warszawie z odnoszeniem do domu: | | na prowincyi w Cesarstwie i Królest. | |
|---|---|---|---|
| rocznie | rs. 6 k. „ | rocznie | rs. 8 |
| półrocznie | „ 3 „ „ | półrocznie | „ 4 k. „ |
| kwartalnie | 1 „ 50 | w Austryi roczn. | 14 guld. |
| miesięcznie | „ 50 | w Prusach „ | 24 marek. |

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 72 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr 12, w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego *w Wilnie*, u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYŃCZY KOP. 15.

**TREŚĆ:** Omanka powieść przez Jana Zacharjasiewicza (ciąg dalszy). —Urywek z pamiętnika przez Adolfa Jankowskiego (ciąg dalszy).—O społecznem stanowisku i wychowaniu kobiet przez Bronisława Trzaskowskiego (ciąg dalszy). —O piękności form ciała. – Osobistość a egoizm dziecka. – Za wojennym śladem powieść ze stepów Amerykańskich przez kapitana Meyne Reid'a (ciąg dalszy.)— Biblijoteczka domowa.— Gospodarstwo i przemysł domowy. – Rozmaitości.— Odpowiedzi Redakcyi.--Ogłoszenia.— W odcinku: Ślady życia XXXIV.

# OMANKA

## POWIEŚĆ

PRZEZ

**Jana Zacharjasiewicza.**

(Dokończenie)

Salomea wrócić do Karola nie mogła.

Zresztą nie było nawet tentacyi do tego. Karol bowiem zamknąwszy doznany ból w piersi — stał się obojętny i zimny. I on miał zawiele dumy, aby zawrócić tam, gdzie go pierwej nie chciano.

W tej chwili nie miała ona nawet pragnienia miłości. Szarpane srogą boleścią serce rozpękło, a rozpacz jej doszła do najwyższego stopnia, gdy się dowiedziała, że zwyciężyła ją zręczna maska z gipsu — prosta lalka!

Cóż on w niej kochał, jeżeli pierwsza lepsza twarz, choćby nawet sztuczna tylko, mogła tak wpłynąć na jego wyobraźnię?... Czegóż właściwie potrzebuje kobieta, aby zajęła i była kochaną?... Czyż potrzeba serca — potrzeba szlachetniejszej wewnętrznej istoty, która dotąd była jej całą treścią?.... Ona potrzebowała tylko twarzy z gipsu — potrzebowała zręcznej draperyi kosztownego kostyjumu.... i dziwiła się, że mogła dotąd w co innego wierzyć! Wszak na tę drogę wstąpiła dzisiaj kobieta.... wszak ta droga prowadzi ją do zwycięztw, gdyby nawet była martwym automatem....

Czegóż więc pragną dzisiaj mężczyzni, jeżeli twarz z gipsu im wystarcza?....

Takie pytanie zadawała sobie teraz Salomea, a odpowiedź na to podawała jej zraniona duma kobieca, czemu osłabłe z bólu serce wcale się nie opierało.

I zapalił się w jej oczach dziki płomień, krew butnych przodków zakipiała w sercu....

Wstała i spojrzała do zwierciadła. Była cudownie piękną, podobną do zbudzonej lwicy! Zawrzała w niej żądza zemsty nad brzydką opiniją miasta! Do tej zemsty potrzeba jej było tryumfów, zwycięztw na szerszej arenie świata....

Pragnęła zabłysnąć świetną gwiazdą — pragnęła olśnić wszystkich świetnem zwycięztwem — zapaliła się do rozgłosu świetnej partyi!....

Poiła się już naprzód tryumfem nad złośliwą opiniją, która dzisiaj tak ją poniża, szydzi z niej, i depcze po niej brudnemi nogami....

Chciała teraz na tę kartę wszystko postawić — wszystko, chociażby i przyszłe szczęście swoje!....

Byle tylko zabłysnąć — byle być podziwem nędznego gminu, który teraz z niej się naigrawa....

Serce zamilkło — pragnienia kobiety zagasły — przed nią stał tylko rydwan głośnego tryumfu....

Pragnienia te wyprostowały jej postać, dodały jej sił świeżych, przyspieszyły obieg krwi.

— Lepiej mi teraz — rzekła do kasyjerowej — dziękuję pani za opiekę!

Kasyjerowa pożegnała ją i wyszła.

### XXVIII.

W tej samej godzinie, niskiego wzrostu staruszek dążył szparkim krokiem do dworku kasyjera.

Kasyjer właśnie co wrócił z pogrzebu. Dobył z kieszeni chustkę kraciastą i otarł nią resztki łez, które mu jeszcze na wąsach zostały.

Obaczywszy staruszka otworzył drzwi na rozcież i gościnnie przywitał go w swoim pokoiku.

— Wielki zaszczyt spotyka mój dom ubogi, ozwał się do gościa —proszę, bardzo proszę....

Szambor usiadł na krześle.

— Dopełniliśmy bardzo smutnego obowiązku, mówił dalej — nieboszczka była zacna, bardzo zacna kobieta. Zdaje mi się, jakby w mieście zrobiła się nagle luka!

— Dziękuję za łaskawy udział przy pogrzebie mojej krewnej — odparł smutno Szambor, widzę, że zasłużyła sobie na waszę miłość!

— Wszyscy płakaliśmy.... patrz pan!

I machnął przed gościem mokrą chustką kraciastą.

Czy to było wspomnienie nieboszczki, czy widok chustki kraciastej — stary kasyjer przyłożył ją do oczu i zaczął na nowo płakać!

Szambor z rozrzewnieniem patrzał na starego. I w jego oczach okazały się łzy.

— Jesteście zacni i poczciwi — rzekł po niejakim czasie i umiem kochać zacnych i poczciwych!

— Ale co to była za kobieta!

I stary kasyjer zaczął znowu płakać.

— Uczciliśmy umarłych — zabrał po chwili głos Szambor — mówmy o żywych!

— Dobrze, dobrze, mówmy o żywych — pochwycił prędko kasyjer — biedna Salomea!

— W samej rzeczy że biedna!

— Może by moja żona mogła być w czem pomocą?

Szambor odkrząknął.

— Chciałbym tylko wiedzieć — zaczął po chwili — jak to... tam stoi... czy raczej stała sprawa z panem Karolem.

Kasyjer schował kraciastą chustkę i z uwagą spojrzał na gościa.

— Nie wiem w jakim celu czynisz pan to zapytanie — ozwał się po chwili namysłu.

— Chciałbym coś wiedzieć o tem!

Kasyjer zmarszczył czoło.

— Et — nie ma co mówić o tem! odparł i i machnął ręką.

— Dla czego?

— Jeżeli człowiek głupi krok czyni, to potrzeba jak najprędzej o tem zapomnieć.

I stary kasyjer rozparł się na swoich krótkich nogach, jakby zabierał się do zapamiętałego oporu.

— Czyż to było tak głupie? zapytał z lekką chmurką na czole Szambor.

— Głupie, bardzo głupie! odparł z impetem kasyjer — ja byłem głupi i moja żona raz w życiu przyznała się do głupstwa.

Szambor smutno spojrzał przed siebie.

— I na czemże zależało to głupstwo? zapytał po chwili.

— Na tem zależało panie dobrodzieju, że aplikant sądowy nie powinien był sięgać do panny, w głowie której palą się jakieś tam resztki świetności!... Dla niego Kamilla, córka radcy, w sam raz! Dziewczyna skromna i pracowita — a będzie nad miarę szczęśliwa, gdy z czasem będzie tem, czem dzisiaj jest jej matka! A Karol wkrótce może zostać radcą.

— Czy sądzisz pan, że Salomea....

— Salomea przy Karolu nie mogłaby nigdy zostać tem, czem była jej matka lub babka! Kiedyś w życiu przypominałaby sobie, że zeszła na dół!...

Szambor długi czas myślał nad tem, co powiedział stary kasyjer.

Wreszcie wstał i rzekł:

— Może masz pan słuszność!... A cóż pan Karol na to?

— Karol.... Karol waryjował trochę, ale dzięki Bogu jakoś uspokoił się. Gdy człowiek rękę lub nogę straci, to ta wprawdzie nie odrośnie — ale serce jakoś tam się goi!

— Może nie zawsze — ale gdy tutaj tego wypadku nie ma, to mam zaszczyt pożegnać pana.

I gospodarz odprowadził tak zacnego gościa aż do furty ogrodowej i tam mu jeszcze serdecznie rękę uścisnął.

. . . . . . . . . . . . . . . .

Gdy Szambor do białego dworku powrócił zastał tam Salomeę rozgorączkowaną, chodzącą szybkim krokiem po pokoju. Miała twarz czerwoną, oczy błyszczały jak dwie pochodnie.

Na sofie siedziała krewna którą Salomea ciocią nazywała.

— Czyście powzięły jaki plan na przyszłość? zwrócił Szambor zapytanie do sędziwej kuzynki.

— Wyobraź sobie kochany kuzynie — odpowiedziała z radością dama — Salomea odgadła prawie całą naszę rozmowę w Połoninie i kubek w kubek sama mi to powtórzyła!

— Jakto? Salomea zgadza się na to?

— Ach kochany wujaszku — zawołała drżącym głosem Salomea — to jest jedynem mojem pragnieniem! Cóż ja tu będę robiła w tem podłem gnieździe? Czyż mi się nie należy świat szerszy? Czy nasze stosunki familijne nie uprawniają mnie do śmielszych nadziei od tych, jakie to miasteczko dać mi może?....

— A cóż z dworkiem i kamienicą zrobić?

— Sprzedać i wypłynąć na szerszą arenę.

— Pojechać gdzieś między ludzi i im pokazać się! dodała przyszła opiekunka Salomei.

— I nie będzie ci żal twoich wspomnień młodych? ze smutkiem zapytał Szambor.

— Wspomnień?... Nie mam żadnych wspomnień, któreby mnie tu przywiązywać miały!

Smutne rozrzewnienie malowało się na twarzy Szambora. Rzekł po chwili:

— Życie na szerszym świecie może pochłonąć tę małą fortunkę!

— Przecież żyć się tam będzie z pewną myślą i z pewnym zamiarem! dodała dama.

— Wiele tem co jest zdobyć nie można! zauważył Szambor.

— Przecież aby ułowić dużą rybę nie bierze się takiej samej ryby na ponętę — odpowiedziała dama.

Szambor zamyślił się smutno.

— W świat, w świat szeroki! wołała jakby w ekstazie Salomea — czuję, że mam siły — i wierzę, że siły moje nie zawiodą mnie!

— Zawiodłaś się niedawno!

— To serce wiodło mnie źle — dzisiaj widzę, że lepsza karyjera bez niego.

— Fałszywie sądzisz! Zbadaj siebie dobrze a poznasz, że nie samo serce wiodło cię tam, gdzie znalazłaś zawód! To samo i teraz z ciebie przemawia, tylko w wyższej potędze!....

— Drogi wujaszku!

— Za rok będziesz pełnoletnią — a wtedy możesz to robić co chcesz!

## Epilog.

Minęło kilka lat. Salomea wytrwała w powziętej myśli, bo konsekwencyja raz źle skierowanego uczucia jest nieubłaganą.

Zostawszy pełnoletnią sprzedała całą fortunkę i pod opieką doświadczonej krewnej zrobiła kilka ekskursyi za granicę, gdzie się zbierają ludzie bogaci.

Mimo wytwornych strojów, mimo wszelkiej sztuki podobania się i pozorów, wielkich dostatków — ekskursyje te były dotąd bezskuteczne.

# ŚLADY ŻYCIA.

## XXXIV.

Tyle życia, ile... w c z y n i e.

Radujcie się, bracia felijetoniści, bo oto przyjdzie wkrótce chwila, kiedy nie będziecie już narzekali na brak faktów, na ospałość ogólną, na leniwe tętna życia społecznego, i inne tym podobne okropności. Jak wędrowne ptastwo, przylecą z dalekich krajów różne indywidua, popychające koło życia naszego, i wszystko ożywi się na nowo. Przybędzie też do miasta masa *pustych kieszeni*, co aczkolwiek nie przedstawia zbyt miłej perspektywy, może jednakże wpłynąć na ożywienie ruchu finansowo-ekonomicznego. Nie wiemy, czy owe puste kieszenie nie będą ozdabiały wielu dusz artystycznych, które przybędą tu, żądne benefisów i tym podobnych skutecznych na suchoty kieszonkowe lekarstw. W każdym razie będziemy za to doznawać szczytnych wrażeń, które spłyną do serc naszych z podniosłych wyżyn sztuki. Miną czasy ogórkowych nudów i ogródkowych rozkoszy. Prowincyjonalne kapłanki Melpomeny ulotnią się z grodu naszego, pozostawiając wiele zranionych serc i... pustych kieszeni. Szczególniej wielbiciele Eldoradowych delikatesów zapłacą za niebem rozkoszy, jakich doznawali na łonie sztuki i natury. Słowem, witając nowe życie i nowe przyjemności, nie jedną łzą stare pożegnamy. Już widzimy załzawione oczy *ogródkowych donżuanów* (różnorodne odmiany tego gatunku mnożą się u nas dosyć licznie, popierając tem teoryją Darwina o rozmnażaniu się i przemianie gatunków). Ale najbardziej rozkrwawią się serca *donżuanek ogródkowych*. Bo trzeba wam wiedzieć, że nastąpiło tu równo-uprawnienie płci obojga pod skrzydłem głoszącej wspaniałe ideje Melpomeny, przy dźwięku podniosłych pieśni muzy Offenbachowskiej.

Zaiste, Eldorado wielkie poniosło w tym roku zasługi, tak dla sztuki, jak i dla umoralnienia pewnych warstw społeczeństwa naszego!

Ale, wracając do miejscowej Melpomeny, donosimy czytelnikom naszym, że w przybytku jej ujrzymy niebawem wiele miłych nowości. Wspaniałą ucztą artystyczną będzie zapewne przedstawienie „Niewinnych“ pana *Władysława Okońskiego (Aleksandra Świętochowskiego)*, które ma rozpocząć zimowy sezon dramatu i komedyi naszych.

Tymczasem dyrektor opery komicznej już przeszło od pół roku obiecuje nam pokazać „Co to jest miłość,“ w czem przeszkadza mu podobno trudność przeprowadzenia harmonii pomiędzy częścią instrumentalną i wokalną. Sądzimy jednakże, że zapewne wkrótce z prawdziwym pożytkiem dla sztuki przeszkoda ta usuniętą zostanie.

Dziwne niekiedy myśli przychodzą do głowy poetom naszym. Oto „patrzą oni z bólem w życie ludzi“ i widzą, że „świat ten litość budzi:..“ Więc, nie mając nic innego do

Czasami odwiedza pałac w Połoninach, a stary Szymon nazywa ją „Omanką.“ Powiada że podobne kobiety tylko świat chcą „omanić“ wydając się tem, czem nie są. Nawet sam Szambor, który swojej „Elmie“ już dotąd kilka kostyjumów sprawił—gdy patrzy na Salomeę nie wie czy to jego „Elma“ czy rzeczywiście żyjąca kobieta!.... Tyle sztuki jest tu i tam — a prawdy żadnej!

A jest to może tylko konsekwencyja nieoględnie startego idealizmu.

* * *

Karol ożenił się z Kamillą i wkrótce będzie radcą. Wygląda zdrowo, chociaż nie jest bardzo wesoły. Jest co się zowie porządnym człowiekiem — ale dawne mrzonki idealistyczne o poświęceniu się dla społeczeństwa wyrzucił z programu życia jako balast nieużyteczny. Jest pilnym urzędnikiem, często ubiera się w mundur, bo na to zważa prezydent i według tego podaje podwładnych do awansu.

Byłby może innym, gdyby mu nie starto zaraz na wstępie idealistycznej barwy życia, i gdyby pierwszy krok jego nie był fałszywy!....

* * *

A cóż artysta?.... Artysta jest w ciągłych zawodach. Zawodzą go kobiety, które chce kochać, a które zawsze są, albo bardzo bogate albo z tytułem urodzone. Kobieta w twardych warunkach życia nie sprawia na jego wyobraźni żadnego wrażenia. Zawodzi go także sztuka, bo krytycy nie widzą w nim geniuszu i odradzają od koncertów. Rady skromniejszej pracy odrzuca z oburzeniem — a tymczasem, żyje żebraniną i pozuje w niektórych salonach na talent niepoznany! Nauki i pracy nie lubi — a jeżeli na tej drodze uporczywie wytrwa i tylko mrzonkami wytwornej fantazyi swojej żywić się będzie, to zszarga życie i w końcu z resztkami siwych długich włosów wróci do brata ślusarza, który tymczasem pracą rąk swoich dom rodzinny od żyda wykupi — i tam samotnie umrze!—

Szkoda tak pięknych nadziei — bez pracy i nauki!—

KONIEC.

---

# Urywek z pamiętnika

PRZEZ

Adolfa Jankowskiego.

(ciąg dalszy).

W poprzednim rozdziale, który jako prolog do niniejszego uważać się winien; dotknąłem wypadków więcej jak połowę wieku od chwili obecnej oddzielonych, w których, figurowali dziady i rodzice moi. Obecnie,—zwracam się do bliższej już epoki wypadków spółczesnych które dobrze jeszcze pamiętają zapewne, ludzie starsi nadwiślańskiego grodu naszego. Ale wypadki te,—przeważnie ściągają się tylko do szczupłego rodzinnego grona a z kółka tego—kilka tu zaledwie figuruje osób.

Jeśliby ktoś ciekawy był wiedzieć dla czego tak ścieśniam się i ograniczam,—a rodzinnych jedynie dotykam wypadków? — objaśniam tu: że najprzód nie jestem człowiekiem politycznym,— wypadki więc z życiem mojem związane, do szczupłego bardzo należeć mogą zakresu ogólnej widowni. Powtóre znów można by tu zasadnie utrzymywać że życie nasze jak scena do obejrzenia swego potrzebuje najlepszego punktu optycznego.

Widz obznajmiony z efektem scenicznym, szuka zwykle miejsca dla siebie w sali teatralnej—z lewej strony—w pobliżu środka. Wie on bowiem dobrze, że punkt optyczny dla dekoracyj teatralnych—tak jest obrany, iż całość najlepiej przedstawia się oku patrzącego, tylko z tego punktu.

Zapytywano mnie też niejednokrotnie:—dla czego przy pisaniu niniejszego „Pamiętnika“ tak wiele zajmuje się rodziną moją, i osobistemi sprawami memi? Odpowiadałem pytającym; że to rzecz bardzo naturalna,—gdyż pisarz jest jako— dekorator teatralny, który da zupełnego efektu dekoracyi, potrzebuje sobie obrać za podstawę punkt perspektywiczny, skądby za jednym rzutem oka, objąć mógł całość. Pisarz zatem każdy, mniej więcej umiejętnie, takiego punktu szuka, skąd całość kreślonych przez niego wypadków,—dawałyby obraz najzupełniejszy. Przytem, gdy walki, myśli i uczucia człowieka, najbardziej ludzkość interesują, a rodzina nadto, jest ogniskiem zbiorowem, do którego odnosimy wszystkie czyny i starania nasze, a poświęcamy mu, wszelkie dobre duszy i namiętności naszych popędy; ja więc korzystając z owej dowolności pisarskiej—wyboru punktu zapatrywań moich, do skreślenia podanych tu przezemnie, prawdziwych wypadków z życia, obrałem siebie i rodzinę moję.

I o tyle słuszniej uczynić to mogłem, o ile rodzina każda, jest daną częścią społeczeństwa. Gdy zatem dzieje jej oglądamy, już tem samem wdrażamy się—w dzieje małej cząstki społeczeństwa całego, i to o tyle więcej,—o ile dzieje te, nie tylko domowemi zajmują nas faktami, ale łącznością swą z wypadkami, minionej interesującej epoki, w jakimkolwiek analogicznym zostają związku, lub nieznanemi czytelnikowi szczegółami, zająć uwagę jego potrafią.

Nie wszystkie osoby występujące tu, znane były ogółowi, zwłaszcza, iż znaczna ich ilość, należała do ludzi żyjących na partykularzu, których dzieje domowe mieć mogą charakterystyczną doniosłość tylko. I nie wszystkie skreślone tu zdarzenia również noszą na sobie cechy silniejszego zainteresowania ogółu, ale dla ludzi ciekawych i myślących nie powinny one być obojętne zupełnie.

Nakoniec w pamiętniku tym, urywkowym, li tej całości nie przedstawiającym, ale jak zwykle pamiętniki rodzinne, biorącym, jak z kalejdoskopu różne pobieżne zdarzenia i wypadki, żywcem, pamięci przypominające się,—jedno sobie tylko założyłem, nikogo z członków rodzin działających, a dziś żyć jeszcze mogących nie dotknąć i nie obrazić, i ani po-

---

roboty „w lazury wznoszą oko.“ I cóż tam widzą?... Oto:

„Ktoś się skarży, ktoś pociesza,
„Ktoś z Hioba szepcze łonem....

Jednakże poeta, niezadowolony jest z tego widzenia, gdyż boli go, że ten ktoś „w prastare mgły się dla nas obleka.... i że trzyma w ręku czarę tajemnic „za wysoko dla ust człeka.“

Atoli tajemniczy wieszcz ma w sercu niepłonną nadzieję, że, kiedy wyprawimy się na dolinę Józefata, owa czara tajemnic „będzie naszą!!.. Czy szanowny wieszcz z tęsknotą oczekuje tej chwili, tego już nie powiada. Płacze tylko, że tu na ziemi „smutny los człowieka, utrzymując z głęboką znajomością prawd psychiczno-fizyjologiczno-społecznych, że:

„Z duchem orlim, z kreta okiem,
„Bada, szuka, wzywa czeka....
„Z gwiazdą radzi się, z obłokiem....

Jednakże gwiazdy widocznie licho radzą panu poecie, główną przyczyną czego jest gruba nieznajomość astronomii, która dla poety, zbratanego z błękitami i gwiazdami, obcą być nie powinna. Bo oto szanowny wieszcz utrzymuje, jakoby filozof widział tylko „próżnią w górze,“ a ksiądz „piekło.“

Dalej łaskawy poeta głosi, że ludzkość, drżąca, blada, mroczną, ciemną idzie drogą.... i co chwila ktoś zapada, myślą duchem, w noc złowrogą!...

Że się wieszczom przydarza często tak smutna sytuacyja, to nie dowodzi, aby ludzkość cała miała doznawać podobnych sukcessów, czego jej bynajmniej nie życzymy.

Ale idźmy dalej. Otóż, pogrążona w ciemności, ludzkość pyta „Panie! Panie!.... kędy prawda“?.... A na to odezwał się głos wielki:

„Patrz w otchłanie
Mórz i w rosy mej kropelki!!...

Świetne odkrycie. A myśmy dotychczas nie wiedzieli, gdzie jest prawda. Tymczasem wynalazła się w morzu i w rosy kropelkach. Co to znaczy intuicyja, obok głębokiej naukowości!...

Ale... ale... odkrywamy jeszcze jeden podniosły przymiot.

Patrzcie grzesznicy co robi sprawiedliwy! Oto gdy usta czyje bluźnią prawdzie Bożej, tak, że aż „Cheruby płaczą w Niebie,“ wtedy poeta „kornie się w piersi bije i za drugich i za siebie!!...

Mamy więc nadzieję że piewca jak ongi święci pańscy, przebłaga niebiosa, zagniewane na grzeszników, czego z niecierpliwością oczekujemy!

---

Zaznaczyć tu musimy chwalebną nader działalność szanownego Dyrektora Szkoły Realnej w *Kaliszu* pana *Pawłowicza*. Obok zajęć czysto teoretycznych, a mianowicie: nauk buchalteryi i rysunków technicznych, wprowadził on do swego programu ćwiczenia pra-

średnio ani bezpośrednio, przykrości nikomu nie uczynić.

A jeśli pozytywiści czuliby się tu jakim szczegółem dotkniętymi, to niech mi wybaczą wraz z doletniemi pannami. Bo jak z jednej strony, nie tylko że nic nie mam przeciw zasadom pozytywizmu, ale i owszem, uznaję całą rzetelną wartość jego, na drodze naukowej dyjagnozy;—tak z drugiej znów strony, schylam głowę przed rzeczywistą zasługą w domowem gospodarstwie panien doletnich, i niezasłużonem częstokroć nieszczęściem ich, w niemożności wybrania sobie dozgonnego, trosk i ciężarów powszednich towarzysza.

Cierpiąc, kochając i walcząc, przebiegłem już życia połowę, a bodaj, i połowę kresu najdłuższej doczesnej pielgrzymki naszej, a nigdy dotąd nie wzięła mnie ochota dotknąć piórem wspomnień moich, zajrzeć do tej zapleśniałej puszki Pandory, z której od czasu do czasu wynurzy się opylony szmat jakiś, a człowiek spojrzawszy nań, albo uśmiechnie się i wzruszy ramionami, albo smętnie czasami zamyśli. I często, stanie mu może łza w oku, za uronionemi marnie nadziejami, które urzeczywistnieć miały ongi zamki na lodzie, tak łatwo wznoszone w młodzieńczej wyobraźni naszej.

Są wszakże w życiu silniejsze i wybitniejsze wspomnienia, o których zapomnieć trudno gdyż stawiają nam żywo przed oczy fakta, dramaty nawet całe, które rozegrywały się kiedyś kosztem krwi naszej i wierzeń najdroższych lub pochłaniały w sobie wszystkie zapały i porywy młodzieńczej duszy i natchnienia!

Przyznać ci się też muszę kochany czytelniku, że jestem starym dziwakiem, i gdy opanują umysł mój wspomnienia, lub smutek nie wytłumaczony zawładnie sercem; wówczas, jest mi w domu za gorąco, za duszno, a wytrzymać nie mogąc, chwytam za kapelusz, i gwałtownie potrzebując ruchu i powietrza, uciekam w najgłębszą, najsamotniejszą ustroń Warszawy.

I tam dopiero swobodnie oddycham, gdzie mi nikt nie przeszkadza,—a nie widzę w okół siebie żadnej ludzkiej twarzy, tylko jedną naturę, która magicznie działając na rozstrojone nerwy moje, błogim swym wpływem, niesie duszy spokój pożądany. Wszystkie pory roku mają swoich zwolenników, dla mnie przecież najmilszą jest pogodna jesień. A może to i z tej przyczyny, że sam już jestem w jesieni życia, i serce moje wystygło dla nadziei.

Zamiast więc burz gwałtownych, które kiedyś niem miotały, panuje tam dziś wszechwładnie rezygnacyja i spokój zupełny.

Jesień nadto, nie pali nas ani gorącemi promieniami lata, ani mrozi podbiegunowem tchnieniem zimy, i ożywcze tylko a łagodne wlewa w nas ciepło. Prawdę też powiedziawszy wysila ona naturę całą na to ostatnie z nami pożegnanie. Na tę uroczą dla nas chwilę rezerwuje wszystkie wdzięki swoje, a darząc nas bogatym plonem, dojrzałych owoców jak wytrawna kokietka, czaruje nas zalotnym i upajającym zmysły uśmiechem swoim, usiłując zawładnąć nami całkowicie.

Wrzesień r. z. miał się ku schyłkowi, gdy po niedzielnem raz nabożeństwie, wyszedłszy z kościoła Ś-go Aleksandra, przystanąłem chwilę na górnych schodach, oczekując wolniejszego przejścia wśród tłumu. Gdy zaś w czasie oczekiwania mego, niebo pochmurne od rana wypogodziło się nagle, a słońce mile jeszcze dogrzewając wychyliło z za chmur osłony, cały plac Trzech Krzyży łagodnem światłem oblawszy, zamiast puścić się ku domowi, zawróciłem drogą do Łazienek Królewskich wiodącą.

W alei Ujazdowskiej spacerowało kilkanaście osób, i kilka zaledwie snuło powozów ciągnionych wolnym truchtem; Botaniczny ogród, wyludniony jak zwykle o tej porze, a na drodze do Łazienek — nikogo! Byłem tedy prawie sam, bo i na tarasie Łazienkowskim, stał jeno szyldwach pałacowy, a paru znużonych wędrówką przechodniów ziewając spoczywało na ławkach.

Drzewa w parku, znacznie już były przerzedzone, ale słońce z trudnością jeszcze przedzierało się przez zbitą ich gęstwinę. A ziemia zwilżona dobrze, długo przez cały ranek padającym deszczykiem, wonnem balsamicznem tchnieniem napełniała powietrze. Idąc ciągle brzegiem kanału, i oczarowany cudnym widokiem, jaki natura przedstawiała, zbliżyłem się powoli ku Łazienkowskiemu amfiteatrowi i zamyśliłem głęboko.

Przedemną piętrzyła się wysoko poważna budowa, a amfiteatr ten, przypomniał mi w owej chwili czasy inne, i inne cyrki wiekuistego miasta, w których ongi zasiadało po sto tysięcy ludu.

„Panem et circenses!“ woła rozbestwiona ludność Rzymu, domagając się od Cezarów swoich, rzucania jej na ofiarę, na pastwę dziką lwów i tygrysów, chrześcijan niewinnych tysiące. Arenę całą zapełniają trupy i poszarpane członki nieszczęśliwych, a garstka pozostałych przy życiu męczenników, rozpaczną prowadzi walkę z dzikiemi zwierzęty, oczekując tryumfu śmierci!

Olbrzymia krwi posoka płynąc zwolna, tysiącem wężowych zwojów nasiąka w gruby pokład białego ziarnistego piasku, a powietrze rozdzierają krzyki ofiar i ryk rozwścieczonych zwierząt i napełniają je tumany wzbitej od nóg ryjących ziemię kurzawy. Dwóch chrześcijan, wynosi z cyrku z czcią religijną młodą męczennicę cudownej piękności, która skonała przed chwilą.

Tam! na wysokościach! spoczęła już na jej głowie tryumfalna męczeńska korona. Tu całun biały owija uroczą jej postać, i tylko twarz martwa do widza zwrócona. Oczy jej zamknięte i pogoda śmierci—osiadła na gładkiem jej czole, ale jasno przecież widać z tej szlachetnej twarzy, że owa wątła istota, śmiało oddała głowę — dla potwierdzenia krwią swoją—wieczystej prawdy Chrystusa!

Tuż przed męczennicą upadającym krokiem postępuje młodzian wyniosłej postawy, z oczami dłonią zakrytemi, — wsparty na piersi—

---

ktyczne w mającym się urządzić warsztacie mechanicznym i laboratoryjum chemicznem. Sądzimy, że byłoby zbytecznem wyliczać korzyści, jakie z podobnego systematu wynikną, tak dla prawdziwie gruntownego wykształcenia w pewnej specyjalności jak i dla zdrowia uczniów, dla którego ruch i ćwiczenie siły cielesnej będzie rzeczą nader ożywczą i pokrzepiającą. Obyśmy w kraju naszym mogli liczyć więcej podobnych zakładów naukowych.

---

Od pewnego czasu widocznym jest u nas zwrót ku realnemu wykształceniu. Nie będziemy tu wyliczali mnóstwa korzyści, jaki kierunek ten przyniesie społeczeństwu, które zrozumiało wreszcie prawidłową drogę rozwoju, po której dążyć powinno. Zaznaczymy tylko ten fakt, że prowincyja zawstydza niekiedy bardziej szybkiem dążeniem po drodze postępu wysoce ucywilizowaną Warszawę naszę. Wspominaliśmy już wyżej o szkole realnej pana Pawłowicza w Kaliszu, która zaprowadza u siebie ulepszenia, o których nasi panowie dyrektorzy zakładów naukowych nie mieli jeszcze czasu pomyśleć. Teraz znów dowiadujemy się, że i *Lublin* będzie miał *szkołę 4-o klasową realną*, pod dyrekcyją p. *Stanisława Falęckiego*, przekształconą z zakładu filologicznego.

---

Wspomnieliśmy kiedyś w piśmie naszem o introligatorstwie, jako zajęciu, właściwem bardzo i dogodnem dla kobiet, które muszą się z pracy rąk własnych utrzymywać. Teraz z przyjemnością zaznaczamy aż dwa fakty, które dowodzą, że potrzeba zmusi wreszcie do wyzyskania właściwych źródeł dorobku. W ogóle w tym względzie prowincyja znowu zawstydza niekiedy Warszawę. Oto w *Częstochowie* pewna wdowa po urzędniku otworzyła zakład introligatorski, prowadzony jedynie przez kobiety, a w *Kaliszu* przed kilku tygodniami otworzoną została „Introligatornia kobiet,“ gdzie, jak donosi Kaliszanin, wyrabiać się będą wszelkie przedmioty, wchodzące w zakres introligatorstwa, począwszy od skromnych aptekarskich pudełeczek, aż do przedmiotów galanteryjnych, po cenach dosyć przystępnych.

Tak więc nasze panie prowincyjonalne myślą na seryjo o przyszłości, i stają odważnie do rywalizacyi na polu pracy z uprzywilejowaną połową rodu ludzkiego. Wprawdzie praca introligatorska nie jest bardzo korzystną, jednakże może być źródłem dostatecznych środków do utrzymania. W każdym razie, czem więcej źródeł pracy, tem mniej daremnie szukających jej nieszczęśliwych ofiar smutnej niedoli i nędzy.

---

Ale oto nowy fakt w kwestyi pracy kobiecej, fakt, niesłychany w dziejach społecznego życia naszego. Jedna z pijonierek postępu, młodziutkie, bo zaledwie osiemnastoletnie dziewcze panna *Salomea Barburska* weszła na drogę pracy, gdzie nigdy dotąd nie stąpiła żadna z pięknych przedstawicielek świata kobiecego. Obawiamy się, aby po tak szumnym wstępie, nie wydało się wam, łaskawe czytelniczki, zbyt prozaicznem stanowisko, jakie

dzielnego jeszcze mężczyzny z siwiejącą brodą. A dzielny mąż ten,—kapłan to pierwszych chrześcijan — czy apostoł?

Z niewzruszoną pogodą oblicza—patrzy on przed siebie i pociesza młodziana, może obietnicą lepszego życia, bo rękę jedną uniósł do góry — i wskazuje mu niebo.

Cudny to obraz germańskiego artysty.

Wyszedłszy z amfiteatru — zapuściłem się w głąb parku. Oprócz liści zielonych na drzewach dość silnie trzymających się gałęzi, mnóstwo już czerwonych, żółtych lub fijoletowych płaszczyzn, dziwną parkowi Łazienkowskiemu nadawało fizyjonomiją, — nie odartą wszakże z właściwej sobie piękności. Aleja zaś wzdłuż kanału i zegarowej oficyny na prawo, wiodąca od pałacu ku mostowi Sobieskiego, wiekowemi drzewami wysadzona, rozkosznie nęciła do przechadzki, samym już widokiem swoim.

Powróciwszy tedy z głębi parku, tyle mającego zawsze dla mnie powabu, z powodu osamotnienia swego, tam skierowałem kroki moje. A nogi szeleszcząc po zwiędłych liściach, z przyjemnością pogrążały się w ten miękki, puszysty różnobarwny kobierzec, z opadłej obficie roślinności powstały, z upodobaniem wyszukując dla siebie miejsc, najgęstszym liściem usłanych.

Za mostem Sobieskiego — dolną drogą Łazienek i Czerniakowską ulicą, dostałem się nad brzeg Wisły, i nagle przed oczami memi, szerokim pasem wody — od lądu odcięty, — rozsłonił się — szeroki widok Saskiej Kępy, w nurtach rzeki skąpanej.

Wznosząca się z głębi wód para, przesłaniała mglistą zasłoną swoją, i wysokich drzew kępy, i brzeg miejscami urwisty, a po każdym wylewie Wisły, z naniesionego mułu podnoszący się—i domki kolonistów—nad brzegiem tym rozsiadłe.

A postępując dalej dostrzegłem też i ów kruchy mostek, po którego chwiejnym i z niebezpiecznych dziur złożonym pokładzie, tylokrotnie już przez łachę Wiślaną—kroczyła ochocza drużyna, pełną piersią czerpać w siebie sielskie rozkosze.

Nie raz kochany czytelniku, i ty spieszyłeś tam z rodziną swoją — odetchnąć w upał — wonnem, wilgotnem powietrzem Saskiej Kępy, a nakarmić się — zdrowym i świeżym jej nabiałem, lub skomsumować dźwigane przez drogę zapasy, i pokrzepić buteleczką piwa lub porteru, zwątlone podróżą członki. A skoro dostałeś się już na Kępę inne nie zawodnie w żyłach twych zakipiało życie! Nogi twoje brnęły po kolana w kwiecistej łące, pełnej fijołków, habru i żółtych brodawników, które tak chciwie krowy na wiosnę pożerają. I rozłożyłeś się zapewne na miękkiej murawie, oparłszy głowę — o stóg świeżo skoszonego siana. A pracowita mrówka liliputka — pełznąc po ziemi patrzała na ciebie, jak na Guliwerr'owego olbrzyma.

Nie dochodził cię tam już — gwar i szum wielkiego miasta, ale za to nad głową —brzęczał ci pieśń pochwalną dla Stwórcy bąk ochoczy, a w najbliższej drzew gęstwinie, ciął słowiczek szary — aż się dusza radowała!

Nie znam w okolicach Warszawy, miejsca milszego — jak Kępa!

Skoroś nogą na nią stąpił, już het! daleko za sobą, zostawiłeś zwykłe domowe kłopoty. Ciężył ci jeszcze może trochę przez drogę — kosz z jedzeniem, lub bęben twój mały, coś go dźwigał na ramionach do najbliższej kolonii; ale skoro złożyłeś już ten ciężar i odetchnąłeś pełną piersią — wonnem, rozkosznem powietrzem, a przed sobą ujrzałeś rozciągnięty dywan łąki zielonej, a za sobą — Wisłę łodziami pokrytą, —i huśtawkę na ławeczce—wzlatającą pod niebo, to zawracało ci się w głowie, ogarniał cię szał jakiś uciechy i swobody i gotów byłeś może pohasać wraz z innymi na której z gościnnych sal Kępy, przy rozstrojonej muzyce fortepijanu.

Wielka byłaby to szkoda, gdyby zbudowano most na Kępę, jak się z zamiarem tym nosza. Nie stałoby wówczas już tej uciechy — dla serca i zmysłów biednych Warszawian. A i tak,—coraz bardziej są one ścieśniane, i w krótce może — wszystkie estetyczne upojenia duszy Warszawiaka, zamkną się w szynkwasowych bawarskich ogródkach.

Ani słowa! Most taki wprost ze Solca na Saską Kępę prowadzący, byłby żelazny, kratowany, poważny. I nie zagroziłoby ci już wówczas, wywrócenie przepełnionej łodzi na Wiśle, ani żadne niebezpieczeństwo nie strwożyło drażliwych nerwów twoich.

Ale nie usłyszałbyś też po fali wiślanej z nadbrzeża — swawolnej nuty gondoliera Soleckiego, co tam wzrósł i wychował się, spienionym nurtom kapryśnej rzeki, życie swoje częstokroć niosąc w ofierze, gdy napiętrzona lodami, co chwila kruchej łodzi jego niosła zagładę.

I nie owionie cię już — żadne z tych poetycznych wrażeń, niesionych w duszy, gdyś płynął do domu z powrotem — otoczony swoimi, a w cieniach nocy — majaczał przed samym wzrokiem twoim, wysoki brzeg Warszawy, na strażnicy którego, jerzyła się ku tobie jakaś groźna warownia z kamiennego bulwarku — niby Scylla grożąca rozbiciem. Księżyc łysy, błyszczał wówczas na krawędzi fal, — wznoszących się i opadających miarowo, pod regularnem wiosła uderzeniem, w dali rozciągała się na horyzoncie, czarna, tonąca we mgle smuga drzew wysokich, opuszczonej z boleścią kępy. A wślad za tobą, goniły — jak wodne nietoperze, łodzie współtowarzyszy zabawy twojej.

Kiedy cię zaś przywlokły do domu nogi strudzone, i przytuliłeś głowę do poduszki, to i wówczas jeszcze, dusza pełna zaczerpniętych wrażeń, niosła ci sny rozkoszne.

I jakby na jawie, widziałeś ochoczo pląsające pary, i żydka, grającego o karmelki w cetno i licho—i ślepego dziada z małym chłopcem a skorupką wyciągniętą po jałmużnę, nucącego pień jakąś pobożną o Ś-tym Łazarzu. I huśtawkę nareszcie ze sobą i dziećmi w obłokach

---

zajęła ta młodziutka pijonierka. Bo oto powitacie w przedstawicielce płci waszej.... pisarza kancelaryi gminnej. Co za proza, co za poniżenie!... Wszak prawda!... Wy byście się na to nigdy nie zgodziły. My jednakże, żywiąc w sercu odmienne nieco przekonanie, składamy słuszne uznanie Redakcyi Kaliszanina za kilka uwag w tym względzie, które dowodzą, że i w prowincyjonalnej prasie naszej kiełkują już bujnie nowe, a brzemienne wielką donioslością ideje. Kaliszanin w tym względzie mógłby zawstydzić nawet niejedno z czasopism naszych, pokryte dotąd jeszcze grubą pleśnią zastarzałych przesądów, lub obojętne zupełnie na światło nowych myśli, które drogom naszym przyświecają.

Rzeczy nadprzyrodzone bywają zwykle środkiem do zdobywania nader przyrodzonej realności. Słyszeliście już zapewne o jasnowidzącej dziewczynce z pod Lublina i o karczmarzu który na tem jasnowidzeniu świetne robił interesa. Nadprzyrodzony ten spirytualizm wpływał na odbyt spirytualności alkoholowej. I dobrze się działo zacnemu karczmarzowi. Aż oto nielitościwa policyja zabrała mu ten skarb nieoceniony, pragnąc go oddać pod bliższą ocenę biegłych.

Smutny obraz nędzy wyjątkowej przedstawia u nas instytucyja, która ma niby uszczęśliwiać społeczeństwo, udagadniając mu zadosyćuczynienie gastronomicznym jego potrzebom. Tymczasem, biedaczka, sama znajduje się w tak suchotniczym stanie, że niezadługo może ze łzami będziemy musieli zaśpiewać jej „Requiescat in pace." Jedni składają winę na zarząd, inni na akcyjonaryjuszów. Sądzimy jednakże, że „wart Pac pałaca, a pałac Paca." Akcyjonaryjusze chcieliby, aby zarząd trzymał się wę wszystkiem zasad samopomocy, i albo wcale nie uczęszczają na zebrania, albo przyszedłszy, obdarzają go hojnie.... świetną elokwencyją, co jednakże na podniesienie się dywidendy nic a nic nie wpływa. Zarząd którego wina jest daleko mniejszą, mógłby jednakże działać energiczniej, mógłby częściej zaglądać do sklepów i baczniej śledzić ruch handlowy, mógłby postarać się o dogodniejsze i tańsze źródła dostawy produktów. W przeciwnym razie pożyteczna ta instytucyja umrze z głodu. A szkoda by doprawdy było Merkurego.

Powtarzając ogłoszony przez jedno z pism codziennych fakt o pewnym lekarzu powiatowym, który nie chciał jechać dla udzielenia pomocy na wózku wieśniaczym, żądając lepszej bryki, dodamy tylko, że za podobne wybryki bezecnych indywiduów surowa winna spotykać je odpowiedzialność. Już to nie po raz pierwszy w gronie eskulapów naszych spotykają się osobistości, dla których wartoby założyć jaki specyjalny zakład karno-poprawczy, coś w rodzaju „instytutu dla moralnie zaniedbanych."

Jednym z najwspanialszych tryumfów, jakie może odnieść potężny talent, było pierwsze w tym sezonie wystąpienie pana *Żółkowskiego.* A powołało ono do życia jedną z owych kreacyj, w których kiedyś najpotężniej zabłysł talent artysty. To też liczna publi-

a niedźwiedzia z łańcuchem na ziemi, wyraźnie słysząc gruby głos prowodyra:

„Pokaży ty kak baba leżyt; kak staryka rugajut!

A z jakiejś tam niedalekiej kolonii, dochodziły cię nawet dźwięki, rozstrojonego w zimowej wilgoci fortepijanu.

Most rzeczony, może być komunikacyją arcy wygodną, drogą pewną i przemysłowi nawet pożyteczną ale zabija na zawsze poezyją kępy! A czyż i tak wiele już z tej poezyi natury uroczej, zostało biednemu Warszawiakowi, — ogłuszonemu turkotem wozów, bryczek i pojazdów, — jak tańcem piekielnym w młynie dyjabelskim.

Oślepiony dymem piekarskich i fabrycznych kominów — i tumanami codziennej kurzawy, której płuca jego pełne, — a w dodatku —zasznurowany w ciasny gorset—obowiązujących, nad miarę uciążliwych form konwenansu, Warszawiak wzdycha i wzdychać będzie zawsze do swobody i świeżego powietrza.

Nakoniec uznając całą pożyteczność takiego mostu, trudno przecież zaprzeczyć, iż dla wielu dusz co nie żyją tylko powszednim chlebem, stałby się on — czemś podobnem — do drogi żelaznej wiodącej cię do Jerozolimy, a rzuconej — po nad przepaści i skały Libanu, po których — do najświętszego grodu chrześcijaństwa, tylu już wdzierało się pątników skrwawioną wprawdzie nogą, ale ubłogosławionem sercem!

Wróćmy jednakże do przerwanej przechadzki.

Słońce zniżało się już ku zachodowi, gdy głodny i strudzony, idąc ciągle brzegiem rzeki doszedłem do Zjazdu. Po Zjeździe, toczyły się leniwe fury, lub przesuwali liczni przechodnie. Jedni dążyli spiesznie za interesami swemi, drudzy wracali po pracy do domu.

Wielu z nich przechadzało się zwolna, z rękami w tył założonemi, marząc może o znikomości rzeczy ludzkich, lub żałując tych resztek światła i ciepła — rozpraszających się w przestrzeni, wśród tumanów pary wodnej — podnoszących się z Wisły, a z po za których Praga z wysokiemi kopułami złoconemi cerkwi Maryjskiej, wyglądała jakby w powietrzu skąpana

Wszedłszy na Zjazd, znużony trochę, a po trosze rozmarzony, skierowałem kroki moje ku znanej wszystkim budce strażniczej, i usiadłszy tam na samotnej ławeczce z tyłu budki od strony Wisły wzniesionej, pogrążyłem się zwolna w zadumę, ku czemu nie mało przyczyniło się i otoczenie moje.

*d. c. n.*

---

# O SPOŁECZNEM STANOWISKU
## I WYCHOWANIU KOBIET.

PRZEZ

**Bronisława Trzaskowskiego**

Dyrektora Wyższej Szkoły Żeńskiej w Tarnowie.

(ciąg dalszy).

Najogólniejszym celem każdego wychowania jest, zrobić z człowieka to, do czego jest stworzonym i przeznaczonym, czyli innemi słowy: posunąć do ostatnich granic wykształcenie jego osobistości. A ponieważ każda istota ludzka jest najprzód człowiekiem, a potem członkiem społeczności, dla tego też wychowanie człowieka ma mieć na względzie najprzód jego powołanie ogólno-ludzkie czyli humanitarne, a potem społeczne. Według tego dzielimy wszelkie wychowanie na ogólne i specyjalne. W wychowaniu ogólnem wyróżniamy dwa stopnie: niższy i wyższy. Tej stopniowości odpowiada przyjęty powszechnie podział szkół męzkich na niższe czyli elementarne albo ludowe i wyższe, do których liczymy gimnazyja, szkoły realne i t. p. zakłady.

Pytamy teraz najprzód, czy kobieta zdolną jest do wyższego ogólnego wykształcenia. Jakąkolwiek różnicę w psychicznym ustroju mężczyzny a kobiety przyjąć zechcemy, i przypuściwszy nawet, że kobieta pod względem intelektualnym w niektórych kierunkach mniej jest uposażoną od mężczyzny, to jednak każdy się na to zgodzi, że kobieta zdolną jest do tego stopnia ogólnego wykształcenia, które wyższem nazywamy.

Przed kilku laty powstała podobna szkoła w Berlinie pod kierownictwem profesorów Bonitza, Gneista i innych znakomitych mężów i pań.

Wykazawszy potrzebę nietylko elementarnych ale i wyższych szkół żeńskich, przechodzę do samego wychowania żeńskiego. Przedmiotem wychowania jest istota dziecka. Najwyższa sztuka wychowawcy leży więc w tem aby poznał tę istotę dziecka i zastosował się do niej. Nie ma bowiem powszechnej pedagogiki: każde dziecko ma inną naturę i wymaga innego traktowania. Ta różnica występuje szczególnie i nader wybitnie między dziećmi jednej, a drugiej płci, i uznano już powszechnie, że u dziewcząt objawia się wcześniej większa żywość i wrażliwość ze strony uczucia niż u chłopców.

Stąd wypływają wszystkie niemal właściwości psychicznego życia kobiety: żywsza delikatność, prędsze pojęcie i szybszy ogólny rozwój. Kiedy chłopiec do poznania rzeczy drogą przedmiotowego zastanowienia się powoli zdąża, budzi się w duszy dziewczęcia pojęcie i sąd o rzeczy bezpośrednio i nierównie prędzej. Rozum chłopca rozłącza, bada szczegóły i buduje powoli, kiedy dusza dziewczyny dąży bezpośrednio do ogarnienia całości i więcej ogół rzeczy niż jej szczegóły ma na oku. „Ja nie rozumuję, mówi Ifigenia Goetowska, ja czuję swój obowiązek.'' Stąd pochodzi, że kobieta łatwiej się pogodzi z losem niż mężczyzna, bo mniej bada i analizuje; stąd wypływa u kobiety owa pełna wiara i rezygnacyja, stąd konserwatyzm i szanowanie istniejących stosunków, tradycyi, obyczajów, — kiedy chłopiec, w którym się duch krytyczny wcześnie budzi, radby wszystko do swojego pojęcia i do swojej zastosować woli. Z tego przeważnie uczuciowego i zmysłowo-poglądowego życia ko-

---

czność hucznym a szczerym oklaskiem powitała ulubieńca swego, a w ciągu gry nie szczędziła oznak najszczerszego zapału. „Zachód Słońca“ przedstawił nam całą pełnią genijalnej twórczości artystycznej.

---

Debiut na scenie naszej panny *Lubaczewskiej* był próbą, z której trudno jeszcze orzec stanowczo o talencie młodej artystki, trudno powiedzieć nawet, czy istnieje on rzeczywiście. W każdym razie stanowczo twierdzimy, że pannę L. zawcześnie puszczono na deski teatralne, czego dowodzi wielka nieśmiałość i niepewność siebie przy braku prawdziwej znajomości sceny, jakkolwiek z drugiej strony serdeczność i naturalność gry młodziutkiej aktorki daje nam pewną nadzieję w przyszłości. Głosik maleńki i niewyrobiony. Niechaj kiełkujący talent, jeżeli istnieje rzeczywiście dojrzeje wprzód, i dojrzawszy dopiero zaprodukuje się przed publicznością. Teraz możemy tylko powiedzieć: „Zawcześnie, kwiatku, zawcześnie!“

Donosząc czytelnikom naszym o przedstawieniu w *Eldorado* komedyi p. *Sarneckiego* p. t. *„Febris aurea,“* obszerną ocenę takowej z przyczyny braku miejsca zostawiamy do przyszłego N-ru.

---

Znowu pożar na prowincyi, znowu jeden obraz nędzy, znowu jeden dowód niedołęztwa i lekkomyślności naszej. Tą razą ofiarą nieszczęścia jest *Prasnysz.* Doprawdy, coby to można zbudować za te pieniądze, które my z dymem puszczamy! — Smutna refleksyja!...

---

Ale... ale... a *propos* pożarów na prowincyi, *Izraelita* podnosi ważną nader w tym względzie kwestyją. Oto zwraca się on do przewodników gmin izraelskich w drobnych mieścinach prowincyjonalnych, aby postarali się wpływem swym skłonić współbraci do urządzenia straży ogniowych. Prasa prowincyjonalna powtórzyła tę odezwę Izraelity co obudziło pewne w tym względzie ożywienie; kto wie, czy tam, gdzie znajdzie się kilka inteligentnych i pojmujących doniosłość sprawy jednostek, słowo w czyn się nie zamieni. Byłoby to rzeczą nader ważną i chwalebną.

---

Prawdziwie pocieszający pod niektórymi względami kierunek przybiera nasz ruch umysłowo-wydawniczy. Idąc po drodze postępu w krainę nowych zdobyczy myśli i czynu, na tej palącej Saharze życia, przypominamy też sobie od czasu do czasu o nadobnem kwieciu podniosłych uczuć, które ongi zakwitło bujnie w sferze umysłowości naszej. Z mgły przeszłości wynurza się potężny duch poetycznej twórczości, a my, synowie nowych idei, z zapałem go zawsze witamy. W ostatnich czasach widzimy nie małe w tym względzie ożywienie. Piśmiennictwo nasze zbogaciło się kilku drogocennemi skarbnicami pamiątek po wieszczach naszych, a prócz tego kilka drobnych studyjów przypomniało pamięci ogółu niesłusznie zapomnianych już nieco wieszczów. Mamy już np. sumienne, aczkolwiek krótkie studyjum o Brodzińskim, skreślone piórem zdolnego autora p. *Belcikowskiego.* Przedruki znakomitych płodów wieszczego ducha dość

biety wynika dalej łatwiejsze pojęcie i zrozumienie tego, co szczególne i osobiste, niż tego co powszechne i ogólne; dalej większa zawisłość od sympatyi i antypatyi niż od loicznych motywów; nareszcie żywszy zmysł i pociąg ku formom i pojawom niż ku treści i istocie rzeczy, a tem samem wybitniejszy kierunek ku idealności, harmonii i piękności; a stąd nakoniec szczególna uwaga na własną swą postać i zewnętrzny swój objaw, jako też chęć podobania się już w tym wieku, kiedy chłopiec na wszystko to jeszcze zupełnie jest obojętnym.

Oto najgłówniejsze właściwości, stanowiące osobistość kobiecą. Na nich ma się oprzeć wychowanie. Bo ostatecznym celem wychowania jest wykształcenie osobistości. Wychowanie kobiety ma więc nadać należyty kierunek wrażliwości jej uczucia, z którego i wiedza i wola jej wyrasta; wrodzony zmysł piękna i przyzwoitego pojawu, powinno wychowanie chronić od próżności, w którą się ów zmysł tak łatwo wyradza; popędowi ku idealności wskazać wzniosłe godne ludzkiego ducha cele, aby nie utonął w drobiazgowości; a konserwatyzm zamienić w cnotę wytrwałości i wierności. Wszystko to zaś musi się oprzeć na silnym gruncie religii. Jeżeli religija jest potrzebą każdej duszy ludzkiej, to jest ona szczególniejszą potrzebą duszy kobiecej, bo religija leży głównie w uczuciu, a uczucie, to właściwe wiano płci żeńskiej. To ciepło religijnego ustroju duszy kobiecej szukać musi stosownego dla siebie przedmiotu, gdzieby się objawić mogło; i stąd to u kobiet owa czynna miłość, owa gotowość do poświęcenia, która cuda działa. A nie jest to jak zwyczajnie ludzie sądzą, tylko ofiarą ze strony kobiety; jest to owszem konieczną potrzebą, postulatem, żywiołem jej duszy. Czyśmy kiedy zastanowili się nad tem, jak kobieta, tak wątła istota tyle nieraz dni i bezsennych nocy nad łożem chorego dziecka lub męża, a nawet obcej dla siebie osoby przepędzić może, kiedy nierównie silniejsza mężczyzny natura, nawet połowie tych trudów podołać nie potrafi. Otóż odkryję w dwóch słowach tajemnicę tego cudu: miłość i poświęcenie, oto są owe skryte zioła, co dodają tych sił kobiecie, co najcięższe trudy w miłe przemieniają zajęcie. Czyż więc wychowanie kobiety do tej miłości, do tego poświęcenia nie ma być jednym z najpierwszych celów jej wychowania?

Te ogólne cele wychowania kobiecego nie wykluczają bynajmniej względów na indywidualne tak fizyczne jak i duchowe usposobienie jednostek, jako też na ich stosunki domowe i towarzyskie. I tak gdzie się pokaże szczególny talent artystyczny, tam go troskliwie kształcić i rozwijać należy. Jedne z córek naszych przeznaczone są do wyższych, drugie do niższych sfer społeczeństwa, co także przy ich wychowaniu należycie uwzględnić należy.

Przechodzimy teraz do pytania jaki ma mieć udział rodzina a jaki szkoła w wychowaniu żeńskiem. Jest to prawie powszechne zdanie wszystkich znakomitszych pedagogów, że żadna szkoła nie może zastąpić dziewczętom matki i rodzicielskiego domu. Szkoła dziewcząt nie powinna zatem być czem innem jak tylko pomocnicą domu, rozszerzoną, że się tak wyrażę, familiją; a im bardziej się zbliży do domowego wychowania, tem doskonalszą będzie. Nie przeczę, że szczególne położenie większej części rodzin i dzisiejsze towarzyskie stosunki zmuszają rodziców w niezliczonych wypadkach wyręczać się szkołą; i tego nikt nie zaprzeczy, że wiele rodziców powoduje się w tej mierze pewnem wygodnictwem i modą — zapominając, że wychowanie córek jest naturalnym i może najważniejszym ich obowiązkiem. Sądzą oni, że instytuty naukowe zdejmują z nich ten obowiązek— i mniemają, że już wszystko uczynili, jeżeli dają pieniądze na wychowanie córek. Dziwna zaiste rzecz, jakie postępy i na tem polu zrobiła zasada podziału pracy i rozprzężenie naturalnych organizmów. Niezawodnie przyzna każdy te korzyści, jakie stąd wynikają, że ludzie i maszyny wiele rzeczy po za domem robią, o które z większym nakładem czasu i sił rodziny same staraćby się musiały. Ale co na innem polu jest niezaprzeczoną korzyścią, to na polu wychowania córek jest niezawodnie smutnym objawem, i bolejemy nad tem mocno, że tą drogą szerzy się w rodzinach coraz bardziej to mniemanie, że się im wolno pozbyć tych praw i obowiązków, które przecież z samej natury rzeczy istotnie i głównie do nich należą.

Niechaj atoli nikt nie sądzi, jakobym tym sposobem przeciw szkołom panieńskim występował. I owszem przemawiam jak najgoręcej za nimi, ale chciałbym tylko sprowadzić takowe do właściwego ich celu i przeznaczenia. Nie potrzeba tak daleko iść, aby dla tego, że córki nasze obowiązki społeczeńskie i stosunki innych stanów poznać muszą, koniecznie do szkoły chodzić musiały; ale każdy przyzna, że kiedy dla jednego dziecka zbawienniejszą jest domowa nauka i domowe wychowanie, drugiemu szkoła publiczna nierównie większe przyniesie korzyści i że w ogóle szkoły żeńskie są koniecznym postulatem czasów naszych i w wielu wypadkach, mianowicie pod względem nauki, prawdziwem dobrodziejstwem i że dobrodziejstwo to jeszcze większem się okaże, jeżeli rodzice szkołę rzetelnie wspierać i pracę około wychowania swych córek za wspólną uważać będą, która ustawicznie wzajemnego rodziny ze szkołą porozumienia wymaga.

Chodzi teraz tylko o to, aby to, co wyższe szkoły panieńskie zdziałać powinny i mogą, coraz jaśniej pojąć, coraz dokładniej określić, i coraz wyraźniej urzeczywistnić. Bo nie sądźmy, aby to już było rzeczą dokładnie oznaczoną i stanowczo rozstrzygniętą, co to jest szkoła żeńska, mianowicie wyższa. Co to jest szkoła ludowa, co to jest gimnazyjum, to się da już dokładnie określić, powiedzieć, ale co jest szkoła żeńska mianowicie wyższa, tego dzisiaj może nikt dokładnie oznaczyć nie potrafi.

d. c. n.

---

często się pojawiają. Obecnie np. dowiadujemy się o mającem wyjść niezadługo w zbiorowej edycyi we Lwowie, całkowitem wydaniu poezyj *Józefa Bohdana Zalewskiego*, jednego z najserdeczniej przemawiających do serca śpiewaków naszych. W tym nadobnym bukiecie poetycznego kwiecia mają być podobno umieszczone nowe kwiateczki poezyi, dotąd nieznane nam jeszcze.

---

Tak uboga w obszerniejsze utwory liryczno-epiczna muza nasza, wzbogaci się niezadługo dwoma utworami znanych autorów.

P. *Józef z Mazowsza*, jeden z bardziej utalentowanych młodych poetów naszych napisał poemat p. t. „Z motywów Sumienia," a znany jako dzielny tłomacz p. *Klemens Podwysocki*, napisał rapsodepiczny p. t. „Córa Chrobrego," który znawcy bardzo chwalą i cenią wysoko.

Z radością witamy szczęśliwą fazę w oryginalnej twórczości poetycznej pana Podwysockiego.

---

*Płock* znowu przypomniał sobie *Gazetę Płocką*, która już oddawna miała się ukazać na widowni umysłowego życia jego obywateli. Założyciele pisma donoszą, że w przyszłym kwartale ma podobno nastąpić odrodzenie projektu, który przez długi czas spoczywał w zapomnieniu.

---

Co się dzieje z komitetem sanitarnym? Dla czego zorganizowawszy się, od pewnego czasu nie daje żadnego prawie śladu życia? Dziwi nas ta martwota zaraz po wyjrzeniu na świat Boży. Panowie, gwałtowny protest organizmów naszych, żądnych świeższej woni i zdrowszego powietrza, niechaj was skłoni do szybszego działania.

---

Z chlubą zaznaczamy jako objaw postępu u nas przystąpienie do współki stowarzyszenia w celu założenia cukrowni i rafineryi w Szpanowie, przedstawicieli najpierwszych rodzin w kraju. Należą bowiem — książęta: Karol Radziwiłł, Stanisław Lubomirski, Roman Sanguszko, hrabia Władysław Branicki, hrabina Maryja Potoka, hr. Józef Zamojski, Wiktor de Broel-Plater i Feliks Czacki. Nadto do stowarzyszenia tego należą: Wincenty Czarnowski, Adam Grabowski, Kacper Kozakowski, mieszkaniec tutejszy Aleksander Szoltze i poddany austryjacki Wacław Przesmycki, nakoniec Jakób Dowglas poddany Wielkiej Brytanii.

Wymowny to dowód, że przemysł u nas podnosi się i że arystokracyja nasza wyrzeka się przesądów zapleśniałych.

---

Czytamy w Wieku: We Lwowie gości od dwóch tygodni menażeryja pod firmą Kreutzberga, która zapowiadała się olbrzymiemi afiszami niemieckimi po rogach ulic i zaimponowała zarazem mieszkańcom nadmierną wysokością cen wejścia. Ponieważ właściciel tejże menażeryi, zamierza podobno zawitać również do Warszawy, przeto nie będzie może bezpożytecznem przytoczyć tu fakcik, o którym nam donoszą ze Lwowa. Przed kilkoma

# O PIĘKNOŚCI FORM CIAŁA

**ze stanowiska estetyki popularnej (*).**

Odczyt D-ra Karola Zagórskiego miany w Lublinie d. 21 Lutego 1875 r.

---

Głęboki znawca serca ludzkiego, znakomity nasz satyryk a zarazem i myśliciel Ignacy Krasicki powiedział:

„Pomimo wszystkie płci naszej zalety
„My rządzim światem—a nami kobiety.“

I rzeczywiście, czy rzucimy okiem na około siebie i wpatrzymy się w prywatne życie otaczających nas osób, czy głębiej sięgając zajrzymy do kart dziejowych i zechcemy poznać pobudki wyczytanych tam faktów, czy nakoniec zwracając się ku sobie samym sumiennie przepatrzymy pasmo ubiegłego życia, wszędzie dostrzeżemy mniej lub więcej widoczną sprężynę działalności, na którą wskazują nam przytoczone powyżej słowa sławnego poety filozofa.

Ta niezaprzeczona moralna władza, którą na mężczyzn panów stworzenia, słaba istota kobieta rozciąga, a której wpływ tak jest potężny, że zależnie od tego jak jest skierowana, podnieść nas może do egzaltacyi najszczytniejszych poświęceń, lub też naodwrót, w bezpowrotną przepaść szału i występku nas strącić, władza ta powtarzam ma jedyne źródło, w uczuciu, którem kobieta zdolna nas jest natchnąć—w miłości.

Słusznie bowiem powiada o niej nieśmiertelny wieszcz starożytny: *)

Miłości! ktoż cię zwycięży?!
Wszak równie twój grot cię miecie,
I na serce wielkich męży—
I na ust dziewczęcych kwiecie—
Morza przebywasz i błonie,
Kędy strumień brzęczy,
I syn nicestwa, i ten co swe skronie,
Nieśmiertelnym laurem wieńczy,
Dla ciebie—szaleństwem płonie!

Czem zresztą jest miłość? Jakie są jej składniki i pobudki? na pytania te szczupłe ramy niniejszej pogadanki, nie pozwalają nam odpowiedzieć, tembardziej, że potrąciwszy o miłość, mimowoli poruszyćbyśmy musieli wiele innych kwestyj, które obserwacyja codziennego życia upoważnia nas do brania za jej synonimy, a mianowicie: samolubstwo, interes, ambicyja, zalotność i t. d.

Pozostawiwszy tedy moraliście i filozofowi rozwiązanie tych ciekawych zapytań, my tutaj ograniczymy się tylko na rozpatrzeniu jednego z przymiotów, który jeżeli nie jest kobiecie niezbędnym dla tego ażeby mogła w nas uczucie miłości wzbudzić, to jednak bezwarunkowo uczucie to potęguje, a w większości wypadków wpływa na jego wywołanie, gdyż pierwszy podpada nam pod oczy. Wiecie już zresztą Szanowni słuchacze, że mam tu mówić o piękności ciała.

Mając mówić o piękności ciała zaczniemy od powiedzenia kilku słów o jego pochodzeniu.

Odkąd człowiek nauczył się patrzeć na świat, postawić sobie musiał pytanie: czem jest? jaki jest jego początek i koniec? Zbadał tedy najodleglejsze przestrzenie zarówno jak i najdrobniejsze szczegóły natury, na łono której rzucony został, podpatrzył zdumiewające jej tajniki i odkrył wszechpotężne rządzące nią prawa, a jednak przez długie wieki niezdołał zrozumieć swego znaczenia w wielkiej zagadce stworzenia długo niepojął roli swojej we wspaniałym dramacie organicznego życia.

I nie dziw, większość bowiem filozofów i myślicieli jednostronnie zapatrując się na życie, uderzona tragicznym nieraz jego charakterem, przestraszona odpowiedzialnością ciążącą na naszem sumieniu, a przedewszystkiem zaślepiona pychą i zarozumiałością, podniosła człowieka do stóp samego Stworzyciela, a widząc go wszechwładnym panem reszty stworzenia, między nim a podwładnymi jego nieprzeparte postawiła tamy. Analiza jednak ściśle naukowa, usiłowała ciągle oddziaływać przeciwko tym filozoficznym uniesieniom, znaleźli się bowiem ludzie, którzy ograniczając świetlny widnokrąg złudzeń, badać się starali człowieka z jego pokornej, materyjalnej, namacalnej strony, zgłębili jego fizyczne potrzeby i czynności, i stopniowo odkryli coraz to więcej podobieństw i zbliżeń, na zasadzie których rodzaj ludzki z resztą natury się zlewa, przygotowując w ten sposób świat do największego odkrycia nowożytnej nauki, którem jest jedność organicznego życia na świecie. Według tej teoryi człowiek zajmuje właściwe sobie miejsce, jako ostatnie ogniwo w nieprzerwanym ciągu podobnych mu stworzeń, a ciało ludzkie jak wszystko co zmieniać i doskonalić się może, podlega ogólnemu prawu postępu.

Nauka tedy współczesna obalając kruche podstawy klasycznych chronologij, odnosi powstanie człowieka do tak odległej epoki, że cała pisana historyja wydaje się w porównaniu z nią jak przemijająca chwila, wobec nieskończonego szeregu wieków. Odsełając dalej w dziedzinę mrzonek podanie o pierwszym człowieku, jaśniejącym młodością i pięknością, i bujającym po rozkosznych ogrodach edenu wraz z niewinną towarzyszką w pośród państwa oswojonych zwierząt, antropologija jako naszego protoplastę ukazuje nam w jaskrawem świetle prawdy istotę obrzydliwszą kształtem od dzisiejszego australczyka, dzikszą od mieszkańca Patagonii, zmuszoną dla utrzymania nędznego bytu do ciągłej walki z niewiele dzikszemi odeń zwierzętami. Dalszych zaś jeszcze sięgając czasów nauka czyni nas potomkami familii wielkich małp antropoidnych.

---

*) Artykuł niniejszy, jest przeważnie kompilacyją wyjątków z rozmaitych dzieł, z których wyszczególniam te z których najwięcej czerpałem:

„*L'homme primitif d'apres les récents travaux des savants anglais*“ *par M. Auguste Laugel (Revue des deux Mondes—1863).*

„*Hygiène et perfectionnement de la beaute humaine dans ses lignes, ses formes et ses contours*“ *par A. Debay.*

*Dr. Karol Lemcke. „Estetyka.“—Przekład z 4-go wydania niemieckiego przez Bronisława Zawadzkiego—Lwów 1874 r.*

„*Histoire de l'homme.*“*—Par A. de Quatrefages, Membre de l'institut. Paris 1867.*

„*Evidence as to Man's Place in Nature—By Thomas Henry Huxley—London 1863.*

*) Sofokles — Antygona — przekład Kornela Ujejskiego.

---

dniami około godziny 7 wieczorem, wszedł do budy jakiś jegomość i zażądał biletu, zażądał zaś po polsku. Na to odzywa się jakaś córka teutońska do kogoś, zapewne znającego nasz język: „Kommen sie doch her, denn ich verstech die verfluchte Sprache nicht!“ *(Chodźże tu, bo ja nierozumiem tego przeklętego języka!).* Żądający biletu przemówił więc do szanownej damy po niemiecku, a otrzymawszy go i zrobiwszy jej stosowną uwagę na powyższe słowa, wszedł do menażeryi. Lecz tu nastąpiła druga niespodzianka: — nie było światła i nic nie można było widzieć. Pomimo domagania się gościa, światła zapalić niechciano; wyszedł więc natychmiast i zażądał zwrotu pieniędzy, lecz i tych mu nie zwrócono. Sprawa zaraz oddaną została policyi, a my relacyję o niej zdajemy jako przestrogę, aby za przyjazdem tej menażeryi do naszego miasta, choć raz publiczność nie tłoczyła się z napełnianiem kieszeni obcym przemysłowcom, którzy obdzierając ją, nie tają się nawet przed nią z głęboką swoją pogardą.

---

W dniu 20 b. m. odbyło się posiedzenie Dyrekcyi Głównej Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, na którem odczytane zostało sprawozdanie z działań Towarzystwa za drugie półrocze 1874. Dowiadujemy się z niego, że wierzytelność Towarzystwa okresu 3-go, seryi I-ej, wynosiła rs. 17,540,510 wierzytelność seryi II-ej rs. 5,197,905, wierzytelność seryi I-ej z roku 1869, tak 5% jak i 4% rs. 61,856,750; ogólna zatem wierzytelność rs. 84,595,165 i takowa zahypotekowana jest na 6,864 dobrach tak prywatnych jak i rządowych. Listów Zast. 3-go okresu seryi I-ej, znajdowało się w obiegu rs. 7,928,187 kop. 61. Seryi 2-ej rs. 2,903,011 kop. 35½, 5% seryi I-ej z roku 1860 rs. 56,176.532 kop. 56½; 4% seryi I-ej z r. 1869 rs. 49,633 kop. 20½. Należność do poboru z tytułu rat wynosiła rubli srebrem 2,129,428 kop. 5, na to w ciągu 2-go półrocza 1874 r. wpłynęło rs. 1,827 307, kop. 22, zalegało do dnia 1 (13) maja 1875 r., rs. 302,120 kop. 83. W wykonaniu właściwych kroków egzekucyjnych, celem ściągnięcia zaległości, Władze Towarzystwa w ubiegłem półroczu wystawiły na sprzedaż dóbr 1465; z tych w ciągu ubiegłego półrocza uwolniono z pod sprzedaży dóbr 1274, pozostało pod sprzedażą dóbr 176, a dóbr 15 sprzedano. Należność do wypłaty na Listy wylosowane i kupony płatne wynosiła rs. 3,542,992 kop. 26½, na to w ciągu półrocza wypłacono rubli srebrem 2,672,700 kop. 32, pozostaje do wypłaty dla niezgłaszających się rs. 870,291 kop. 94½. Fundusz rezerwowy własność Towarzystwa stanowiący wynosi rs. 3,964,894 kopiejek 30½.

---

Są pewne prawdy, które na wiele osób czynią przykre wrażenie, któreby można porównać do tego jakiego doznają ci co nie mogą pozostać w gabinecie anatomicznym napełnionym przykremi wyziewami rozkładającej się materyi. A jednak któżby dziś pokusił się zabronić uczonym sekcyi ciał ludzkich, kto z nas nie korzysta z prawd naukowych odkrytych za pośrednictwem tych studyjów, tak niedawno jeszcze uważanych za bezbożność i profanacyję. Tak samo musimy pozwolić geologii ażeby skrzętnie starała się pochwycić wszystkie nici, które rodzaj ludzki z fauną ziemską wiążą. Zapewne i dziś jeszcze niemożna przedsiewziąść tego rodzaju studyjów, ani powtarzać ich wyników, niewywołując głośnej wrzawy i krzyków jednostronnie wykształconych ludzi, ale szanując uczucie które te manifestacyje sprawia, niemożemy zamilczeć że są one co najmniej zbyteczne; jakikolwiekbądź bowiem jest nasz początek obowiązki nasze pozostają te same, a jeżeli pochodzenie nasze jest nizkie to pamiętajmy na to że i kolebka Chrystusa była w stajence, że państwo które sobie człowiek do dziś dnia wywalczył, nie jest przeto ani mniej piękne, ani mniej rozległe i że nakoniec wzniosłością myśli naszej i zdolnością pojęcia nieskończoności, odkupujemy wszystkie nędze materyjalnego życia.

Wracając tedy do przedmiotu musimy zaznaczyć że jakeśmy wspomnieli, tysiące wieków minęło, zanim pierwotny kształt człowieka doszedł do tej doskonałości form jaką dziś w dziełach natury wielbimy. To powolne, stopniowe przekształcanie się dokonanem zostało za pośrednictwem wielu wpływów zewnętrznych, między którymi najważniejszą rolę grają klimat i położenie geograficzne, i na zasadzie wielu pobudek wewnętrznych, między którymi zwrócę uwagę waszą Szanowni słuchacze na wrodzone każdemu poczucie estetyczne. Ślicznie myśl tę rozwinął Karol Lemcke w swojej estetyce. Początki, mówi on, jak zwykle tak i tu były nikłe. Naprzód mile pogłaskał ucho człowieka głos własnej krtani, dalej oko jego zwróciło się z upodobaniem na jaskrawe mieniące się przedmioty; i oto przywiązuje do nich szczególną wagę, znosi je do swego szałasu jak kruk świecące blaszki do gniazda. Ale tułacze życie każe mu wędrować dalej, zabiera więc i strój ze sobą; zdobi siebie i broń nieodłączną towarzyszkę podróży, muszlą, kamykiem, kosztownym kruszcem, malowidłem. Gwałtowna nienawiść lub miłość namiętna towarzyszą mu i dodają ognia jego myślom i czynom. Z pierwszą tęsknotą miłosną rodzi się poezyja liryczna. Siła i chytrość stanowią główne jego cnoty, chciwie przeto gromadzi przedmioty, które mu wspomnienie spełnionych walecznych czynów na myśl przywodzą. Dla tego to przyodziewa się skórami zabitych zwierząt, kły dzika zawiesza na szyi, kosmyki ludzkich włosów u pasa, pazury niedźwiedzie spinają mu szatę na ramionach, a różnobarwne pióra wieńczą szczyt jego głowy. I znowu mija lat tysiące, człowiek stopniowo uzbroił dłoń ciężką maczugą i ostrą lancą i łupiącą siekierą; wysłał w powietrze chyżą strzałę a na dno morza hak zakrzywiony, uskrzydlił się na grzbiecie wiatronogiego rumaka, zhołdował i przyswoił psa, nauczył się zapalać płomień i uprawiać pożyteczne rośliny.

Osiedliwszy się, powoli człowiek zdołał o tyle zawładnąć otaczającą go naturą, że bezpieczniejszą utworzył sobie przyszłość; łatwiej mu bowiem było pozostając ciągle na jednem miejscu zaspokoić potrzeby, gromadzić zapasy, żyjąc bez ciągłej troski o niepewne jutro. Swobodniejszym się czując człowiek oprócz bezpośredniego pożytku upatruje w przyrodzie i inny przymiot — piękno. Zmysły jego się doskonalą — oko odkrywa prawa regularności i symetryi, — oblicza stosunki, raduje się różnowzorową grą falujących linii, ręka powoli przywyka do odtwarzania tego co widzi oko, a w ten sposób zaczyna on coraz jaśniej pojmować piękność formy, odtwarzając rzeczywistość.

Nietylko jednak martwą przyrodą owładnął człowiek dla wydobycia zeń piękna, — zrozumiał on i żyjącą a wnikając w jej ustrój zabezpieczył ją od ujemnego wpływu wypadku i wrogich żywiołów. Tak pielęgnując roślinę — zakładane przez siebie ogrody poddaje władzy praw matematycznych, urządzając je nietylko dla pożytku ale i dla ozdoby. Dalej wybiera i kształci zwierzę które uczynił swym towarzyszem i sługą, zwracając się nakoniec ku sobie nietylko w celach walki, ale i dla samej piękności i przyzwoitości pielęgnuje i ćwiczy ciało aby utrzymaniem właściwej miary pozyskać kształty, które mu się pięknemi zdają. W taki to sposób doszedł człowiek do wytworzenia idealnie estetycznych form ciała, których najwspanialsze wcielenie przedstawia nam sztuka grecka.

Lecz zanim zastanowimy się po szczególe nad przymiotami, które piękność ciała warunkują postaramy się naprzód dać jej określenie. Określeń piękności posiadamy w nauce bardzo wiele; wszystkie jednak grzeszą zbytnią ogólnikowością przez co nie tłumaczą jasno rzeczy. Tak np. cóżbyśmy się dowiedzieli z definicyi Platona, który powiada: „piękność jest świetnością prawdy.“ Nie będę tu przytaczał innych zarówno zawiłych orzeczeń, a przejdę od razu do określenia Debay'a, którego się tu trzymać będę. Według niego tedy piękność w w najogólniejszem znaczeniu jest to własność ciała, która działając mechanicznie na umysł za pośrednictwem zmysłu wzroku wywołuje uwielbienie. Z tego określenia piękności wynika, że prawdziwa piękność ma 4 składniki: proporcyjonalność kształtów — odpowiedni odcień barwy skóry — wdzięk — i wyraz.

Dwa pierwsze przymioty t. j. proporcyjonalność linii i kolor ciała tkwią że tak powiem w samej materyi, zaś pozostałe t. j. wdzięk i wyraz, są wynikiem harmonijnego nastroju powierzchowności i ruchów z przymiotami duszy. Tam gdzie brak chociażby jednego z pomienionych warunków, tam już nie ma doskonałej piękności. Dla tego też wcielenia doskonałej idealnej piękności, nikt na jawie nie widział, żyje ona bowiem tylko, i istnieje wyłącznie w dziełach sztuki. Pojmowali to już starożytni artyści; dla tego też Xeuxes malując Venerę wybrał z pomiędzy stu najpiękniejszych dziewic w Agrigencie 7 wzorów, w których dostrzegł wcielenie pojedynczych warunków piękna, które chciał zespolić dla złożenia doskonałej całości. Venus Medycejska jest również zbiorem doskonałości dwudziestu różnych modelów. Nakoniec rzeźbiarz Polyktetes określił stanowczo stosunek i proporcyją kształtów ciała i ustalił prawa piękności wedle sztuki. Statua którą w tym celu wykonał przezwaną została przez artystów Normą, t. j. regułą która do dziś dnia służy za podstawę do sądzenia o dziełach sztuki.

Jeżeli z jednej strony jakeśmy wspomnieli, nie podobna prawie napotkać na ziemi doskonałego wcielenia piękności ze wszystkiemi jej klasycznemi warunkami, to za to przyznać musimy, że powyższe warunki niekoniecznie są wszystkie kobiecie potrzebne ażeby powierzchownością swoją miłe na nas sprawiła wrażenie. Są osoby których rysy rozważane pojedynczo, nie przedstawiają nic szczególnego, a jednak całość nas pociąga i oczy nasze z przyjemnością się na nich zatrzymują. Pochodzi to stąd że osoby te łączą w postaci swojej pewne warunki wyrazu i wdzięku.

Jeżeli bowiem wybaczyć możemy w piękności pewne braki pod względem regularności linii, niedostatki w pełności i zaokrągleniu kształtów, jeżeli z pobłażaniem patrzymy na zbyt drobny wzrost, przywiędłą nieco cerę twarzy, i tysiączne podobne ujemne strony które słusznie w najplastyczniejszej nawet piękności dostrzedz można, to bezwarunkowo już z punktu widzenia estetycznego wybaczyć nie możemy braku wdzięku. Wdzięk bowiem jest nierozłącznym towarzyszem i najistotniejszym warunkiem piękności.

Zdobi on umysł i ciało, — przebija się we wszystkich manifestacyjach życia, widnieje i w mowie i w ruchach; odnajdujemy go w wyrazie twarzy zarówno jak i w układzie draperyi i w stroju. On to nadaje okrągłość poruszeniom, giętkość członkom, lekkość chodowi, swobodę manierom, elegancyją postawie —on nakoniec zdradza staranne wychowanie, otwarty umysł, i harmonijną jednobrzmienność między fizyczną i moralną stroną natury ludzkiej. Wdzięk jednem słowem jest tem dla piękności czem woń dla kwiatu.

Określiwszy temi kilkoma wstępnemi słowy ogólne warunki piękności, przystępujemy obecnie do szczegółowego rozbioru pojedyńczych form ciała.

Przebiegając szybkim rzutem oka, różnolite kształty żyjącej natury, dostrzegamy w nich kolejno pod względem kierunku ich rozwoju, pochód w górę i cofanie się. Tak roślina tkwiąc w ziemi dąży ku niebiosom;—u zwierzęcia naodwrót pień rośliny położył się poziomo. Już u płazów widzimy ruch pełzający na brzuchu. Ptak ułożył się pochyło—zwierzę ssące znowu powraca do postawy poziomej, lecz od ziemi odgraniczają je mocne podpory a nadto widzimy tu mniej więcej swobodnie uczepioną szyję, i obrotną na wszystkie strony głowę. W człowieku wreszcie natura dumnieje — ciało wznosi się prostopadle do góry,— cel osiągnięty. I nie tylko pod tym względem człowiek estetycznie inne zwierzęta przewyższa. Przypatrzmy się całej budowie. Całe ciało wyprostowane — noga odpowiednio rozpostarta spoczywa na ziemi, silna podpora potężnego ciężaru przeznaczona nietylko do dźwigania lecz i do ruchu; dlatego też wysuwa się naprzód— w kierunku w którym wszelki ruch dąży, a przynajmniej dążyć powinien.

Od tułowiu pionowo wzniesionego z nikłym stosunkowo brzuchem oddzielają się po obu stronach ramiona. Przednia para nóg zwierzęcych przemieniła się w człowieku w ręce zakończone czułemi palcami. Pionowo również wznosi się szyja, a na niej osadzona jest głowa z twarzą i oczyma wprost nie ku bokom jak u zwierząt patrzącemi. Nos i uszy swobodnie występują naprzód; usta usunięte w tył w poprzek osi długości zaopatrzone są delikatnie wydętemi wargami. Cała powierzchnia ciała służy za narzędzie czucia. Z przodu uważany człowiek wygląda symetrycznie; wzrost jego objawia doskonale zachowaną piękną i zarazem swobodną proporcyjonalność, — z boku cechuje się równowagą.

Rytmiczność linii ciała — jest u człowieka podziwu godną. Jakkolwiek zasada prostej linii stanowi podstawę jego budowy, niema w nim jednak żadnej sztywności. Wszystko faluje swobodnie, nic nie zdradza odrazu matematycznej formuły według której zostało zbudowanem, — jakkolwiek wszystko przedstawia obraz najdoskonalszej prawidłowości i wiąże się z sobą. Pocznijmy od dołu: Już pięta na której ciało spoczywa jest wypukłą. Noga podnosi się nad nią w łagodnem łukowem zgięciu, — i nabrzmiewa w silną łydkę. Dalej zwęża się falującym kształtem w kolanie, na stępnie rozgałęzia się w potężne udo i miednicę — wreszcie tworzy grzbiet w ożywionych falowych linijach. Cała budowa kończy się pięknie sklepioną głową niby odtwarzającą sklepienie niebios. Też same linije pełne odmian, i wyrazu płyną dalej — od głowy przez piersi brzuch i uda, kończąc się w zaokrąglonych palcach u nóg. Piękna zaiste całość!... To też człowiek uchodził zawsze za koronę stworzenia. W nim zeŝrodkowała się przyroda i oddzieliła niejako zbiorowy swój wyraz od reszty zjawisk. Stoi on na ziemi ale duchem nie da się przez nią skrępować, wyposażony rozumem, siłą twórczą i wolą, znoszącą lub łagodzącą przymus instynktu. W porównaniu z resztą świata zwierzęcego jest człowiek wzniosłym. Żyje on życiem przyrody ale tylko w połowie. Inny bowiem świat mu się rozwarł — świat myśli.

d. c. n.

---

# Osobistość i egoizm dziecka.

(Ciąg dalszy).

Siła twórcza z łatwością staje się niszczącą siłą i odwrotnie, w miarę sposobów i warunków w jakich działa. Prąd wody lub prężność pary staje się potężną pomocą w pracy człowieka, albo ją niweczy; siły zewnątrz człowieka leżące, muszą być przezeń opanowane, zmuszane do poddaństwa, a mszczą się na nim, gdy osłabnie ręka zmuszająca je do posłuszeństwa. Lecz między temi siłami a siłą ludzką, wewnętrzną podstawą człowieczej potęgi, tak w istocie ich, jak w sposobie działania i rozwoju—znaczna zachodzi różnica.

Pierwiastki sił które człowiek na świat z sobą przynosi nie potrzebują być zmuszane do służenia jego dobru, bo to jest ich naturalnym celem; zadaniem wychowania nie jest zhołdowanie ich z góry narzuconemu planowi zewnątrz leżącemu, przeciwnie, tu rozwijanie ich normalne i ochrona od zboczeń z prawidłowej drogi, co krok nastręczających się—jest przedmiotem pracy wychowaczej.

Ogrodnik hodując sztucznie jakąś roślinę używa wszelkich możliwych środków aby ją zmusić do służenia jego widokom. Dla niego roślina musi rozszerzyć nam potrzebę swą, choćby nawet z uszczerbkiem swych potrzeb, jakąś część swoję, stawać się musi owocem, korzeniem, lub kwiatem, zapominając o tem że jest cel sam w sobie mającą istotę. Co w chodowli pożądaną jest rzeczą, w wychowaniu byłoby występkiem; tu przedmiot ma najprzód cel sam w sobie, któremu służyć trzeba, tak, aby równie prostą naturalną drogą on służył następnie celom wyższym ściśle związanym z pierwszym, jak całość budowy z cząstką: celom rodziny, społeczeństwa, ludzkości. W wychowaniu tedy nie opanowywać, przekształcać naginać lecz rozwijać i strzedz naturalnego rozwoju należy, a klęski w wychowaniu, nie pochodzą jak gdzie indziej z powrotu sił przyrodzonych do naturalnego porządku, lecz ze spaczenia tegoż narzuconym, sztucznym kierunkiem.

Dziecię zdrowe i energiczne od najwcześniejszych dni okazuje w sobie silny zaród osobistości czynnej, pragnącej działać, że tak powiemy na swoję rękę. Dla jaśniejszego przykładu weźmy trzyletnie dziecko, przypuszczając że poprzednio nie było psute przez bawienie się niem starszych, pieszczotliwe schlebianie kaprysom, proszenie się, strachy i t. p. błędy pierwotnego wychowania. Dziecko to znajdując się w rozsądnem otoczeniu pojmującem jego potrzeby i chcącem je szanować nie będzie okazywać samowoli ceniącej tylko swe kapryśne zachcenia.

Budzi się we właściwej porze, gdyż o właściwej również, i w miarę znurzone spać poszło; niezechce leżeć w łóżku dłużej, bawić się w koszulce, nie będzie się bronić przed ubieraniem, przeciwnie—chętnie zawezwie ku temu obcej pomocy, jeżeli przywykło do tego trybu, a zabawa w stanie ubranym i zajęcia jakie ją czekają, przedstawiają mu się korzystniej. Przeciwnie rzecz mieć się będzie gdy dziecku raz pozwalamy bawić się w łóżku, podajemy mu tutaj pokarm, w ogóle schlebiamy jego zachceniom, a drugi raz surowo wymagamy po nim trzymania się prawideł porządku. Wola starszych staje się wolą dziecka które ją bierze w zakres swych samodzielnych potrzeb przez stopniowe przyzwyczajenie i widoku rzeczywistej w tem korzyści własnej.

Mycie się zimną wodą przedstawia dla dziecka przykrość, od której przecież nie będzie się uchylać, płakać, grymasić, gdy pojmie korzyść tej operacyi, stale przywyknie do niej, z przykładu innych widzieć w niej będzie nieodłączny atrybut rannego wstawania. Przykrość ta stanie się dlań własną potrzebą od której przez myśl mu nawet nie przejdzie wyłamywać się. W tych przykładach widzimy osobistą wolę dziecka czynną tam nawet gdzie czyn zdawać się mu może nawet wprost wymaganiem obcem. Przejdźmy do innych. Dziecko potrzebuje zajęcia. Tej potrzebie dogadzając zacznie niszczyć pierwszy lepszy choćby najcenniejszy przedmiot. Bardzo mało je obchodzi wartość jaką starsi mogą przywiązywać do przedmiotu jego zajęcia, świadomość nawet że tego robić „nie można," słabo oddziaływać będzie na przeciwny naturalny popęd dziecka, jeżeli ono nie posiada innych dogodniejszych dla siebie środków zabawy, które jakoby samo sobie wynalazło. Chęć niszczenia wskazuje niedostatek warunków twórczości.

Dziecko które sobie coś tworzy z własnego popędu (mamy tu na myśli najprostsze instynktowne wykonywanie pomysłów dziecinnych w zabawie), nie będzie „prosić" bezmyślnie. Do starszych należy tylko rozsądnie dostarczyć mu materyjału odpowiedniego, przykładem otoczenia wesprzeć i utrwalić naturalny kierunek rozsądnem a stanowczem wzbronieniem, ograniczyć użycie środków mogących uczynić szkodę tak dziecku jak otoczeniu.

Wzbronienia, rozkazy i przełamywanie ich ciągłe przez wychowańca, stanowią jedną z najcięższych plag wychowania. Wola i potrzeby dziecka w ciągłej walce znajdują się z zewnętrzną powagą czuwającej nad niem opieki. Dziecię arbitralnie krępowane na każdem kroku to znów uporem zyskające ustępstwa, staje się głuchem wreszcie na wszelkie odezwy rozsądku, traci miarę swych żądań i dalekie od stosowania ich do narzuconej niedołężnie woli, ulega jej tylko gdy musi, wpada wreszcie w chaos kaprysów, zachceń, wybiegów i kłamstwa. Tu widzimy osobistą wolę dziecinną na fałszywej drodze wynaturzaną przez błędy wychowania; dobroczynna siła samodzielności osobistej zwraca się na szkodę. Czy z własnej winy?

Badajmy dobrze swe działanie, nad postępkami swemi względem zarodu osobistości dziecka, zastanówmy się sumiennie, nim odważymy się na tak pospolite a lekkomyślne potępianie wad dziecka i to jeszcze „wrodzonych." Wadliwa organizacyja, niezależne od nas złe czynniki objawiające się we władzach dziecinnych, zbyt ograniczoną grają tu rolę w porównaniu z ciężkiemi grzechami naszemi, jakie świadomie lub bezwiednie popełniamy względem dzieci naszych i wychowańców. Przedmiot to zbyt obszerny aby tu mógł być wyczerpująco rozwinięty. Złe nie gdzie indziej leży jak tylko w braku przejęcia się tą prawdą że *dla dobra dziecka tylko przez nie samo działać można.* Przykłady niech nas wyręczą od szerokich omówień.

Mała Zosia bawi się przy matce w ogrodzie. Sprzykrzywszy sobie zwijanie i rozwijanie kłębka który podsunięto niewiedzącej co z sobą robić dziewczynce, zaczyna napierać się moreli, leżącej na ławce obok matki. Na kilkakrotne prośby matka odpowiada jej zawsze: „nie można, jadłaś już, ta morela dla kogo innego przeznaczona." Dziewczynka nie przestaje przecież napierać się i płakać wreszcie zaczyna. Matka rozgniewana, obiecuje jej za niegrzeczność do końca dnia niedać żadnego owocu. Dziewczynka natarczywie przeprasza i obiecuje że „już nigdy nie będzie." Udobruchawszy matkę po chwili zaczyna znów przymilać się, uśmiechać do kuszącej moreli, w jej oczach widać przemyśliwanie nad sposobami dosta-

nia upragnionego owocu. Matka powziąwszy myśl szczęśliwą odzywa się w ten sposób do dziecka.

— Ojciec niedługo powróci zmęczony bardzo. On dziś jeszcze nie kosztował owoców. Niech Zosia poszuka ładnego dużego liścia, położy na nim morelę i pilnuje aby nie upadła na ziemię lub nie powalała się, a jak ojciec nadejdzie to mu ją poda. Ojciec bardzo będzie z tego zadowolony.

Słowa te zupełną zmianę sprawiły w dziecku. Zajęło się gorliwie wyszukiwaniem liści, wyglądało niecierpliwie przybycia ojca, a gdy się ukazał, pobiegło doń z radością ofiarując tyle upragniony niedawno owoc niechcąc przyjąć żadnej jego cząstki dla siebie.

Kazio obok wielu wad „wrodzonych“ miał jednę polegającą na tem iż bał się w ciemności. Zdarzyło się że w czasie zebrania gości, towarzysze jego zapotrzebowali jakiejś zabawki, której użycie on sam najwięcej popierał. Zabawka znajdowała się w odległym pokoju ojca.

Wstydząc się swego tchórzostwa i niechcąc nikomu oddawać palmy pierwszeństwa w przyniesieniu przedmiotu, do użycia którego sam dał inicyjatywę, Kazio nie wezwał nikogo do towarzyszenia sobie w niebezpiecznej przeprawie przez ciemne pokoje, lecz zbliżył się do ojca, prosząc go o pozwolenie świecy.

— Świecy brać niemożna z przed gości, a zresztą wszyscyby spostrzegli że się boisz.

— To prawda. Ale jakże ja pójdę? Tak straszno. Żebym to ja mógł się niebać!

— Bardzo łatwo, trzeba chcieć tylko prawdziwie, rzekł ojciec. Powiedz sobie że jesteś chłopcem, który bać się niepowinien i idź śmiało, a za cały sekret pamiętaj iść jak najwolniej. Im większy strach cię będzie porywał tym wolniej idź. Naprzód.

Chłopiec ruszył z miną bohaterską. Po niedługiej chwili wraca tryumfalnie z uśmiechem choć ze łzami bojaźni jeszcze w oczach.

— Na drodze okropniem się przeląkł, coś skoczyło z pieca, ale żem szedł wolniej jak mi ojciec radził, zobaczyłem zaraz że to kot i śmiałem się z niego, że mu się nieudało mię nastraszyć,—rzekł do towarzyszy.

W tych drobnych przykładach branych z życia okazuje się co może zdziałać w prowadzana w czyn osobistość dziecka, jego własne uczucia i popędy użyte właściwie ku dobremu.

Wieloma przykładami stwierdzić by można że to co nam się wydaje wadą w dziecku — wzięte u źródła jest najdzielniejszą dźwignią jego. Samodzielność osobistą rozwijajmy tylko w właściwym jej kierunku! Dziecię niech będzie w każdym kroku czynną samą przez się istotą, rozwijajmy tę samodzielność rozświecając ją, jak najszczersze zakreślając jej koło. Wzbudzajmy poczuwanie się do odpowiedzialności za czyny, świadomość przyczyn i skutków świadomość doświadczaną, wspieraną przykładem, trafną radą, przyzwyczajeniem stanowczem, a niebędziemy mieć dzieci nielogicznych, niedołężnych, nieodpowiedzialnych przed sobą, samowolnych —bo te wady niechodzą w parze z rozumną samodzielnością osobistą — podstawą godności i dzielności ludzkiej.

Gdy mowa o rozwijaniu osobistej samodzielności dziecka, tej pierwotnej jego egoistnej *dla sobistej* siły, przychodzi na myśl obawa czy kierunek taki nie przyczynia się właśnie do uwydatnienia w dziecku *sobkostwa*. Czy ten co na siebie liczyć tylko przywyka, swą siłę zawsze czuje w działaniu nie będzie też siebie miłował nadewszystko? Cóż po dzielności jego, jeżeli to będzie tylko jednostkową siłą zagarniającą wszystko dla siebie i siebie tylko mającą za celnajwyższy w walce o byt?

Obawa taka gdyby była słuszną kazała by się nam bez wahania zapisać do zwolenników sztuczności w wychowaniu; płonną jednak jest szczęściem i zbyt powierzchowną aby mogła zastraszyć myślącego wychowawcę.

Widzieliśmy z jaką łatwością osobiste władze dziecka przyjmują właściwy kierunek nawet tam gdzie ten zdaje się stawać w brew zachceniom i połączony bywa z pewną przykrością, cóż dopiero mówić o dążeniach zupełnie naturalnych, nieodłącznych od samodzielnego rozwoju ludzkiej istoty. Dziecię jest egoistą, prawda, ale ten egoizm właśnie każe mu kochać to wszystko co dlań dobrem się okazuje. Miarą doskonałości wychowania właśnie jest danie możności dziecku do ukochania tego właśnie co rzeczywiście jest dobre.

Dziecię tylko przez miłość dla siebie kocha innych. To rzecz bardzo prosta, wyższych pobudek nad tę, nie zna i znać niemoże, bez długiego uprzednim życiem ich ugruntowania w sobie. Zobaczymy jaką drogą do osiągnięcia ich dojść może.

Jeżeli ktoś będzie przynosił zawsze dziecku cukierek, potrafi z nim bawić się schlebiając jego wymaganiom, jeżeli jego miłość własną będzie głaskał, ono kochać go będzie i wszelkiemi sposobami tę miłość objawiać naturalnie bez uszczerbku swych zadowoleń. Jest to najniższy stopień miłości dziecinnej, stopień w którym szacunek bardzo małą grą rolę, lub żadnej zgoła nie przyjmuje. Miłość taka nie tylko nie oddziaływa na umoralnienie małego człowieka lecz przeciwnie psuje go bezwarunkowo. Do moralnej budowy dziecka inne przywiązanie przykładać się powinno. Ci którzy zaopatrują potrzeby dziecka rozumnie czuwają nad jego dobrem, w których on widzi wyższą nad swe siły powagę, nakłaniającą się do jego potrzeb, ci mówię zyskują pierwsze prawdziwe uczucie miłości dziecka, bez względu na to, czy to są rodzice czy ludzie obcy; oni związani są z małym egoistą przez uczucie pełne szacunku zdolne do chętnych ustępstw i zrzeczeń się z jego strony. Zrzeczeń takich na rzecz wychowawcy nie należy nigdy nadużywać, lecz kierować je zawsze na wzmocnienie moralnego dobra dziecka. Szlachetna bezinteresowność wcześnie czuć się daje w samodzielnie rozwijanym wychowańcu.

Dziecko które naturalnym popędem miłości własnej, stara się każdą swą czynność wykonać samo, i woła zawsze „ja sam“ gdy idzie o wykonanie jego własnego przedsiewzięcia— z wdzięcznością przyjmuje pomoc daną mu w trudnym razie i nawzajem pomocy takiej chętnie udzielać będzie tym wszystkim którym ona może być przydatną; jest to jego naturalnym popędem. W tem ono widzi prostą słuszność i nic więcej. Zawiść, chciwość, uciecha z cudzej szkody, są niewolniczemi przymiotami, każą się domyślać uciemiężeń miłości własnej starającej się w ten sposób odwet znaleść i zaspokajać niezwykłą „drogą“ pragnienia wzmagane przez przymusowe abnegacyje. Naturalnie rozwijane dziecko kochać będzie swych rówieśników przez uczucie wspólności potrzeb, kochać ich będzie czując że połączenie z nimi daje mu możność osiągania daleko większej przyjemności niż by mu je dała samotna zabawa. Potrzebuje towarzystwa i pragnie okazać się jego użytecznym członkiem. Szanuje wymagania gdy jego godność osobista jest uszanowaną, dla słabych jest gorliwym opiekunem i obrońcą, ceni prawdę, bo nie zna, niepotrzebuje znać korzyści kłamstwa, słuszność odczuwa z łatwością—mierząc sprawy innych uczuciami własnemi.

Od małego dziecka więcej wymagać nie można. Dalsze jego umoralnienie zależy na rozwijaniu zarodów szlachetnych uczuć. Nie o uczuciowość i wyrabianie sztucznej tkliwości idzie tu, lecz o utrwalanie w miarę rozszerzania się pojęć dziecka, pierwszych poruszeń jego serca, przez danie mu możności wprowadzania ich w życie, drogą przyjętego dobrowolnie obowiązku. Obowiązki te rozumie się muszą być odpowiednie do sił młodego członka rodziny i społeczeństwa, w miarę wzrastania ich, rozszerzać się będą i wzmagać. Jesteśmy najmocniej przekonani że tylko prawdziwie ceniący swą godność człowiek umiejący dbać o siebie i sam sobie radzić, — może skutecznie miłość własną rozszerzyć na miłość najbliższych sobie osób, bliźnich i społeczeństwa. Gdzie tej podstawy brak tam miłość wszelka będzie tylko egoizmem, a szlachetne popędy czułostkowemi dobremi chęciami. Mogą się one wznieść wprawdzie do chwilowych poświęceń, ale przy całym świadomym wysiłku, zaledwie dosięgną miary pełnienia miłości bliźniego jako obowiązku, który prawidłowo rozwijanym na podstawie osobistości ludziom, przychodzi jako proste następstwo miłości własnej, ustępowanej bez trudu na rzecz cudzego dobra, owszem z zadowoleniem tem wyższem, im zrzeczenie się jest bezinteresowniejsze. Człowiek rozumnie i szlachetnie kochający siebie kochać musi społeczeństwo, którego jest organiczną cząstką, kochać musi ludzi i szanować ich godność ponieważ sam jest człowiekiem i godność swoją szanuje.

Egoizm objawiający się powszechnie w ludziach i rażący w źle umoralnionych dzieciach inne ma źródła; powstaje raczej z przeciwnych samodzielnemu rozwijaniu się władz dziecka, biorąc początek w wadliwem jego wychowaniu.

d. c. n.

# ZA WOJENNYM ŚLADEM

POWIEŚĆ

ZE STEPÓW AMERYKAŃSKICH

KAPITANA MEYNE REID'A

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO

**Leokadyi P....**

(Ciąg dalszy).

Myśl zbliżenia się rzeką była teraz dosyć łatwą do wykonania, jeżeli tylko rzeka będzie dosyć głęboką. Będę mógł rzeczywiście prowadzić konia tak blisko, jak tylko tego będzie potrzeba. Resztę zostawię szczęśliwemu losowi i przypadkowi.

— Co do wejścia tam z koniem indyjskim, dodał Rube — to nie zdałoby się na nic. Bądź pewien, że przeklęte mustangi tak by się kręciły kopały, rżały, dopóki by ci całej bandy na kark nie sprowadziły; i wtedy jeden z tych łotrów z oczami *lynks* nie omieszkał by odkryć w tobie białego, nie powiem przywdzianego lwią skórą.

Nie długo namyślałem się, co postanowić, zdecydowałem się na zdanie Ruba i zgodziłem się działać zgodnie z natchnieniem opiekuńczego ducha jego.

## ROZDZIAŁ LXXXII.

**W wodzie.**

Przygotowanie moje zajęło bardzo mało czasu. Wkrótce było już prawie na ukończeniu. Miałem jeszcze poprawić siodło, opatrzyć rewolwery i włożyć je razem z nożem myśliwskim tak, żeby nie wyglądały z pod mojego tygrysiego płaszcza. Za pięć minut byłem już zupełnie gotów.

Jednakże czekałem jeszcze aż woda więcej opadnie, co też wkrótce nastąpiło. Niepokój, jaki mnie ogarnął, nie pozwolił być cierpliwym. Godzina rady zbliżała się, to też nie zwlekałem dłużej.

Zresztą była już właśnie pora najstosowniejszą. Widać było przy świetle księżyca czarną linię, oddzielającą brzeg od powierzchni wody, strumień błyszczał, jak wstęga srebrzysta, a ten kontrast uwydatniał więcej jeszcze pas ziemi, który się unosił prostopadle nad nią, bo strumień znacznie opadł.

Wsiadłem na konia. Moi towarzysze otoczyli mnie, i żegnając na drogę, z której mogłem już nie powrócić każden z kolei uścisnął mi rękę. z serdecznem życzeniem na ustach. Niektórzy obawiali się, czy mnie kiedy jeszcze zobaczą. Poznałem to po drżeniu w ich głosie. Inni mieli więcej ufności. Wszyscy poprzysięgli zemstę, jeżelibym zginął.

Rube i Garey towarzyszyli mi aż do stóp góry.

Miejsce, w którem dochodziła do niej woda było pokryte krzakami, które rozciągały się na całej pochyłości i łączyły z drzewami, rosnącemi na szczycie. Zeszliśmy ukryci po za temi krzakami, ażeby się dostać na brzeg w miejscu, gdzie się rzeka skręcała. Góra u stóp swoich porosła była szeregiem takich samych krzaków, i poznaliśmy że postępując tą drogą, którąśmy zeszli, można było pomieścić zasadzkę trochę bliżej obozu. Ale to schronienie nie było tak pewne, jak na górce, i wrazie ucieczki bylibyśmy zmuszeni lecić galopem na gołą pochyłość góry, i pokazać tym sposobem słabe nasze siły. Zdecydowano więc po krótkiej naradzie, że pozostawimy naszych ludzi w miejscu, gdzie się obecnie znajdowaliśmy.

Od skrętu, do któregośmy się dostali, mała rzeczka płynęła w prostej prawie linii aż do obozu indyjskiego i rozwijała się błyszcząco, jak wstęga polewanej stali. Krzaki nie rosły na dalszym brzegu. Jeden krok więcej, a bylišmy wystawieni na widok nieprzyjaciół. W tem więc miejscu trzeba mi było zjechać w wodę. Zsiadłem z konia i szykowałem się do tej przymusowej kąpieli.

Strzelcy dali mi ostateczne swoje wskazówki i rady i w milczeniu, ale serdecznie uścisnęli mi ręce.

Wreszcie młodszy odezwał się:—Nie będziemy daleko. Jak dasz dwa strzały z pistoletu, skoczymy wnet na przeciwko ciebie i spotkamy cię na połowie drogi, a jeżeliby przypadkiem sprawa zły wzięła obrót (tu głos Gareya zadrżał silnie) możesz liczyć na nas, że się — w okrutny sposób pomścimy na tych łotrach.

— O tak! — zawołał Rube — możesz na to liczyć. Niejedna nowa kresa przybędzie na tym o to karabinie, jeżeli ci się przypadkiem przytrafi jakie nieszczęście, mój młody towarzyszu, przysięgam ci to. Ale nie obawiaj się! Trzymaj oczy otwarte pazury w pogotowiu, a bądź pewien, że się wyrwiesz z pułapki. A jak się tylko wydostaniesz z obozu, rachuj na nas. Leć do zarośli tam na górę tak szybko jak gdyby dyjabeł uczepił się u ogona twojego konia.

Nie tracąc czasu na dalsze medytacyje i rozmowy, kazałem mojemu Moro zjechać z brzegu, a znalazłszy niewielką pochyłość, wjechałem bez szmeru w wodę. Jako zwierzę dobrze tresowane, mój dzielny rumak poszedł za mną bez wahania, a za pół minuty był już w wodzie po samą szyję.

Rzeka miała taką głębokość, jakiej sobie życzyłem. Brzeg wznosił się prostopadle na pół stopy po nad powierzchnię rzeki, a było to dostateczne dla ukrycia głowy mojej i mojego konia. Byłem pewny, że jeżeli łożysko małej rzeczki będzie miało tę samą głębokość aż do obozu, z łatwością zbliżę się do obozu nieprzyjacielskiego, a spodziewałem się tego z pewnych danych, jakie wypowiedziałem z moich małych wiadomości *Hydrograficznych.*

Pióra od indyjskiego nakrycia mej głowy przewyższały powierzchnię łąki, a ponieważ były pofarbowane jaskrawemi farbami, z łatwością więc mogły być dostrzeżone zdaleka. Zdjąłem je więc z głowy i trzymałem w ręku.

Następnie, zatrzymawszy się na chwilę podniosłem na głowę skórę tygrysa, żeby się nie zmoczyła. Pistolety też starannie trzymałem nad wodą.

Te małe zmiany w pozycyi zajęły zaledwie jedną minutę poczem na nowo rozpocząłem swą podróż. To że głębokość wody dozwalała mi płynąć było dla mnie rzeczą nader korzystną, gdyż tym sposobem człowiek i koń mniej robią hałasu, jak przebywając w bród próżne łożysko.

Zauważyłem tu wprawdzie jedną niedogodność. Noc była spokojna, zanadto dla mnie spokojna, i klapanie wody dało by się słyszeć daleko. Ale na szczęście, były niżej przed nami bystrzejsze daleko spadki, właśnie w miejscu w którem rzeka przepływała małe góry, a woda, przechodząc, spadała zszumem, który powiększała jeszcze cichość nocna, co zagłuszało prawie zupełnie odgłos naszych poruszeń.

O dziesięć stóp od krzaków, zatrzymałem się, spojrzałem po za siebie, aby zapamiętać miejsce gdzie zostawiłem moich ludzi, gdyż jeślibym był ścigany z bliska, byłoby rzeczą fatalną omylić się co do ich pozycyi.

Odkryłem łatwo to miejsce i spostrzegłem, że nie mogło być lepiej obrane. Drzewa porosłe na szczycie góry były tego rodzaju, że czyniły to miejsce nader dogodnem na zasadzkę.

Oddział nieprzyjaciół, który by się zbliżał idąc z łąki i wschodził na górę, mógł by sobie wystawić, że ma przed sobą całą armiję, bo sama bujna roślinność z wierzchołkami, uwieńczonymi *lames kolcami*, a błyszczącymi przy świetle księżyca przedstawiała wielkie podobieństwo do szeregu wojowników z ogromnemi piórami. Wiele drzew miało sześć tylko stóp wysokości, z wierzchołkami gęstymi i pniami bez gałęzi, a grubymi jak korpus człowieka.

Łatwo więc było wziąść je za oddział ludzi.

Poznałem od pierwszego spojrzenia dogodność tej pozycyi. W razie pogoni Indyjan jeżeli zdołam dostać się do zarośli, wystrzały dane przez wszystkich moich towarzyszy, będą musiały zatrzymać choćby ogromną ich gromadę. Dostatecznem było by na to dziewięć karabinów z pięcioma albo sześcioma strzałami z rewolwerów ażeby dzięki tym drzewom wystawili sobie, że nie z dziewięcioma ale z dziewięciuset ludźmi mają do czynienia.

Tak więc z sercem odważnem i pełnem ufności puściłem się w dalszą podróż przeciwko prądowi wody.

## ROZDZIAŁ LXXXIII.

**Przeciwko prądowi.**

Płynąłem zwolna gdyż woda wszędzie dochodziła mi do krzyża, co nie dozwalało prędzej przerzynać głębokiej fali.

Prąd chociaż nie nadto bystry, stawiał mi ważną przeszkodę. Mógłbym iść zresztą płynąc prędzej, gdyby nie konieczność trzymania

głowy tak, żeby nie wychodziła po za spadzisty brzeg rzeki.

Od czasu do czasu zatrzymywałem się też dla wypoczynku. Możebne myślenia dla odpychania biegu rzeki męczyło mnie i tamowało oddech w piersi szczególniej kiedy byłem skurczony. To też dla odetchnienia wybierałem miejsca, gdzie woda była głębszą i pozwalała trzymać się prosto.

Podczas tych wszystkich manewrów chciałem był bardzo zwrócić bystre spojrzenie ku obozowi nieprzyjacielskiemu, chciałem się zapewnić o odległości i o tem: co się tam dzieje ale nie śmiałem wychylić głowy po za brzeg; darnina bowiem która go pokrywała, zdawała się być miękką, jak skoszona murawa, a brzeki rzeki były gładkie, nie wystające. Dostatecznem więc było podnieść rękę; żeby się dać zobaczyć przy świetle księżyca.

Nie wiedziałem jak daleki jest jeszcze kres mojej wyprawy. ale zdawało mi się, że muszę się już chyba zbliżać do celu! Przez cały czas tej mozolnej podróży trzymałem się zawsze lewego brzegu, który, według przepowiedni Ruba, przewyższał teraz o dobre pół stopy powierzchnią wody. Była to okoliczność bardzo przyjazna, i co jeszcze że z tej strony to jest wschodniej, bo księżyc był jeszcze dosyć nisko i brzeg rzucał cień który się rozciągał prawie do połowy szerokości rzeki.

W tym to cieniu mogłem postępować bezpiecznie.

Sądziłem że się znajduję tuż przy linii i pragnąłbym czemprędzej ją rozpoznać, ale dla wskazanych wyżej przyczyn nie śmiałem tego uczynić.

Nie śmiałem też posuwać się dalej, gdyż mogłem narazić się na wielkie niebezpieczeństwo.

Wiatr wiał na obóz od strony rzeki i gdybym przyprowadził Mora naprzeciwko kordonu koni indyjskich delikatny ich węch poczuł by zaraz jego obecność coby obudziło czujność nieprzyjaciół. Co gorsza wietrzyk był lekki, usposabiający do lepszego węchu, a nie zdolny zagłuszyć szmeru jaki robił mój koń torując sobie drogę w wodzie i od czasu uderzając kopytami o skaliste dno rzeki—podwójne więc przedstawiało się niebezpieczeństwo.

Przez pewien czas wahałem się, nie wiedząc czy mam zostawić mojego konia na miejscu, w którem się znajdował czy też podprowadzić go trochę dalej.

Do uszu moich dochodziły z nieprzyjacielskiego obozu różnorodne okrzyki. ale nie były o tyle wyraźne żeby mogły być dla mnie jakąkolwiek wskazówką.

Spojrzałem po za siebie w stronę biegu wody w nadziei iż powziąwszy wyobrażenie o przestrzeni, jaką przebyłem rozpoznam tym sposobem w jakiem miejscu się znajduję. Ale nadaremnie... Nie dostrzegłem niczego coby mi dopomogło do oznaczenia mojej pozycyi.

Mając oczy nizko nad wodą nie mogłem ocenić dobrze przestrzeni.

Obróciłem się w stronę biegu i uważnie przypatrywałem się rodzajowi parapetu, który okalał stronę północną.

Spostrzegłem wtedy na samym brzegu przedmiot, który doskonale mógł mi posłużyć za punkt do oznaczenia pozycyi. Był to koń przywiązany do piki przy rzece. Nie widziałem głowy jego, bo stał obrócony tyłem do rzeki i skubał trawę.

Widok ten bardzo mnie pocieszył koń znajdował się o dwieście kroków odemnie i widziałem, że miejsce, które zajmuje, oznaczało zewnętrzną granicę obozu.

Byłem więc na dwieście kroków od linii nieprzyjacielskiej właśnie, w jakiej postanowiłem zostawić konia.

Pamiętałem zabrać ze sobą moją pikę, jedno z narzędzi niezbędne dla podróżującego po stepach; potrzebowałem tylko chwilki, żeby je wetknąć głęboko w grunt rzeki, co też uskuteczniłem bez wielkiego wysilenia. Przy tem mój Moro nie zrywał nigdy swoich więzów, chociaż były słabe dla niego dostatecznym był widok lancy do zrozumienia, że się z nim rozłączam, i poszedłem dalej.

Zaledwiem uszedł kilka kroków, spostrzegłem szczerbę *wyłomu* u brzegu rzeki była to mała ścieżka, która prowadziła prostopadle z łąki do wody. Taką samą zobaczyłem na przeciwnym brzegu rzeki.

Te dwie ścieżki oznaczały bród, czyli przejście, używane przez gości stepowych.

Z początku z obawą odkryłem tę drogę, obawiałem się rzeczywiście, żeby nie zdradziła mojej obecności czem nieprzyjaciół; ale kiedy przybyłem do samego miejsca, obawy moje zmniejszyły się, pochyłość bowiem była naturalną a wysokość gruntu zabezpieczała mnie jak przedtem od wzroku dzikich. Nie musiało więc być rzeczą niebezpieczną przejść w tem miejscu.

Już miałem tedy iść dalej, gdy w tem zatrzymała mnie na miejscu. Zacząłem uważniej egzaminować tę dróżkę i odkryłem pewną korzyść dla siebie.

Dotąd byłem w ciągłej obawie o pozycyją w jakiej pozostawiłem mojego konia.

Wrazie ucieczki była ona niezbyt dogodną. Mój Moro stał poniżej brzegu, wskutek czego z łatwością skoczyć mogłem szybko od razu na niego, ale żeby się wydostać na łąkę, było potrzeba zrobić skok olbrzymi, prawdziwie desperacki, bo powierzchnia łąki przewyższała o wiele poziom, na jakim się brzeg rzeki znajdował. Myśl ta niepokoiła mnie bardzo ale nie było na to rady... dzięki przejściu, jakie napotkałem, tak było łatwo wydostać się z głębi rzeki, jak i wejść do niej. Tego mi właśnie było potrzeba.

Nie straciłem ani chwili. Powróciłem do konia, odwiązałem go i wolniutko podprowadziłem do przejścia. Tu poszukawszy dogodnego miejsca najwyniośliejszej części brzegu, przywiązałem biedne zwierzę tak jak przedtem i znowu same pozostawiłem.

Uskuteczniwszy to już daleko swobodniej i z większą ufnością podążyłem w dalszą drogę podwajając mimo to środki ostrożności.

Byłem już tak blisko celu, że najmniejszy szmer w wodzie, jedno pluśnięcie mogło mnie zdradzić.

Miałem zamiar pozostawać w wodzie, dopóki nie minę miejsca, w którem konie były na straży ażeby nie przechodzić lini którą one zajmowały ażeby nie potrzeba było przebywać linii którą zajmowali wraz ze strażnicami swojemi. Ale jak bym się tylko po za tę liniję wydostał konie nie zwracały by już na mnie uwagi, miałyby bowiem jednocześnie innych Indyjan przed oczami a ja zaś w mojem przebraniu nie wiele też różniłem się od dzikich. Mogłem więc omylić baczność tych szyldwachów!

Z drugiej strony nie życzyłem sobie zapuszczać się daleko po za liniję ażeby się nie znaleść w samym środku obozu za nadto blisko ognisk całej o[illegible]wej zgrai.

Za nim puściłem się w drogę, zauważyłem szeroki pas ziemi rozciągający się pomiędzy przestrzenią zajętą przez Indyjan a tą na której pomieszczone były ich konie.

Był to grunt neutralny, mało uczęszczany przez maruderów bandy, i oto brzeg tego pastwiska chciałem obrać za scenę dramatu jaki odegrać miałem.

Udało mi się to nad wszelkie spodziewania!

Trzymając się brzegu rzeki minąłem szczęśliwie pasące się konie i to sunąc pod samemi ich nozdrzami. Że bowiem byłem blisko najlepszy dowód w tem że słyszałem dokładnie skubanie trawy tuż przy mojej głowie. Czołgałem się przecież tak wolno i tak cicho, że ani rżeniem ani kopaniem ziemi nie zdradziły koniska obecności mojej. W kilka minut byłem dosyć już od nich daleko, to też i w ruchach swobodniejszy już znacznie byłem. Podniosłem ostrożnie głowę, a oczy moje zapanowały nad spadzistą częścią stepu.

Ani żywej duszy wokoło. Z daleka tylko rysowały się ciemne postacie dzikich ugrupowanych przy ogniskach. Znajdowali się może o jakie sto kroków odemnie słyszałem jak rozmawiali, śmiali się, ale żaden nie nadsłuchiwał żaden nie spoglądał w moją stronę. Nie było nikogo w pobliżu miejsca jakie zajmowałem. Chwyciłem się brzegu obiema rękami i poskoczyłem w górę — wdrapując się nań ostrożnie jak wąż.

Na klęczkach dostałem się na zielony kobierzec łąki, tu powstawszy wyprostowany ujrzałem się po za granicą obozu indyjskiego.

---

## ROZDZIAŁ LXXXIV.

### Obóz.

---

Zachowywałem przez kilka minut marmurową nieruchomość — nie poruszałem ani ręką ani nogą z obawy żeby najmniejszym gestem nie zwrócić czyjejkolwiek na siebie uwagi.

Ubrałem się w swoją piórzystą czapkę zanim jeszcze wydostałem się z rzeki, a jak tylko na brzeg się wydostałem, zatknęłem za pas pistolety. Uczyniłem to oczywiście ukradkiem i z równą ostrożnością opuściłem w całej długości płaszcz ze skóry jaguara.

Zdołałem uchronić go od zamoczenia, a jego szerokiemi poły przykryłem kamasze z których woda lała się obficie. Mało mnie to obchodziło jednakże. W czasie obozowania na stepie nad brzegiem głębokiego strumienia Indyjanin z mokremi kamaszami nie należy

do osobliwości — nie może więc obudzać podejrzenia, a dla wielu przyczyn ten którego zastępowałem wolałby z pewnością znajdować się na miejscu mojem, choćby przemoknięty do suchej jak to mówią nitki. Oprócz tego skóra daniela wyprawiona na sposób indyjski jest dosyć nieprzemakalną — i moja więc ocieknie i wyschnie niebawem, a gdyby nawet omyliły mnie nadzieje, nie ma obawy ażeby zwrócono na to uwagę. Miejsce na którem wylądowałem trafem szczęśliwym było najmniej widocznem z całego obozu, stanąłem pomiędzy dwoma światłami — pomiędzy czerwonym odblaskiem ognisk i stałem światłem księżycowem, a rodzaj mieszaniny atmosferycznej spowodowanej walką tych dwóch świateł, sprzyjał mi wytwarzając rodzaj złudzenia optycznego. Ziemia była słabo oświetlona mogli mię więc doskonale spostrzedz ze środka obozu, ale nie mogli poznać mojego przebrania. Bardzo więc prawdopodobnie że żaden z dzikich nie pomyśli o zbliżeniu się do mnie i przypatrzeniu się mojej osobie.

Nie pozostawałem długo na jednem miejscu a raczej pozostawałem tyle tylko ile koniecznie było potrzeba, aby się przypatrzeć temu co się tam działo.

Do koła wielkiej ilości ognisk, grupowała się wielka liczba ludzkich postaci — siedzących lub stojących. Ponieważ noc była chłodna Indyjanie trzymali się bardzo blisko płomieni, co dla mnie było też okolicznością nadzwyczaj szczęśliwą.

Uderzyło mnie szczególnie jedno ognisko znacznie świetniejsze od innych. Można było przypuszczać że to ołtarz jakiś tryumfalny podobne bowiem zakładają tu w niektórych okolicach na cześć odwiedzin panującego. Ognisko to, mieściło się na pustym placyku o piętnaście najdalej kroków od wejścia do obozu.

Do koła biwaku tego ustawiła się znaczna liczba osób — tych których względem mnie zajmowali górną część koła nie widziałem zupełnie ale za to stojących bliżej mogłem rozpoznawać najdokładniej. Wiele nie przesadzę gdy powiem że mogłem zauważyć rysy ich twarzy — malowidła pomieszczone na ich łopatkach i wszystkie szczegóły garderoby. Garderoba to muszę powiedzieć z góry, zdziwiła mnie nie pomału.

*d. c. n.*

---

## BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

*Hipolit Boratyński. Romans historyczny Aleksandra Bronikowskiego. Tłomaczył z niemieckiego I. K. Ordyniec. Wydanie przejrzane. poprawione i przedmową autora uzupełnione przez Kazimierza Kaszewskiego. Warszawa. Nakład i druk S. Lewentala. 1875.*

Hipolit Boratyński ukazał się po raz pierwszy w polskiej szacie w roku 1828; blisko więc pół wieku oddziela nas od tego czasu, kiedy zajmował nauczał i bawił czytelników. Czasy intryg królowej Bony, romantyczne ożenienie Zygmunta Augusta z Barbarą, sejm Piotrkowski, potęga domu Jagielońskiego przedstawiały wiele cennego materyjału do wytworzenia świetnej powieści któraby czarem poezyi dziejowej przykuła do siebie umysły i serca czytelników. Bronikowski posiadł zaiste talent po temu, ażeby z tak bogatego materyjału umiejętnie mógł korzystać. Był on naśladowcą ówczesnej gwiazdy powieściopisarskiej—Walter Scotta: epizodami z życia rodzinnego i społecznego czerpanemi umiał ożywić krajobraz historyczny i uwydatnić rysy epoki mniej oświetlone pochodnią historyi. Ale Bronikowski nie umiał jeszcze dostatecznie ocenić znaczenia kolorytu historyczno-rodzajowego, który później miał takim blaskiem literaturę powieściową u nas opromienić, To też wszystkie jego figury przemawiają tonem cokolwiek wyszukanym, autorskim, jednostajnym. Tak samo przemawia starzec jak młodzieniec, tak samo cyganka jak królowa; tak samo junak szynkowniany jak bohater. O oddaniu języka, jakiego wymaga każda doba dziejowa oczywiście nawet mowy być nie mogło, gdy autor pisał po niemiecku. Obok tych wad formy, które pomimo pozornej maloważności, niezmiernie wiele wpływają na obniżenie wrażenia estetycznego, dodać jeszcze należy wadę wewnętrzną i brak psychicznego rozwoju i stopniowania i odróżniania t. j. brak psychologicznego cieniowania w pozach wyprowadzanych na scenę. Wszędzie panuje pewien ton konwencyjonalno-patetyczny albo konwencyjonalno-marzycielski, który wszystkim osobom pomimo różnicy charakterów, nadaje jakąś niemiłosiernie nudną, jednostajną barwę.

Z powodu jednej powieści nie możemy wchodzić w szczegółowe udowodnienie naszego poglądu, stwierdzamy go tylko i sądzimy, że każdy z wykształconych czytelników łatwo sam przeświadczyć się może o sprawiedliwości naszych zarzutów. Jakaż więc przyczyna zniewoliła p. Lewentala do przedrukowania tej powieści, której kapitalne wady nie mogą być zrównoważone kilkoma przymiotami; jakiż powód umieszczenia jej w „Biblijotece *najcelniejszych* utworów literatury europejskiej“? Na takie pytanie przedmowa wydawcy następujące daje objaśnienie:

„Czem bard szkocki (Walter-Scott) był dla całego świata, tem Bronikowski stał się dla Polski, jak obok Walter-Scotta występują tu i owdzie romansopisarze historyczni, tak obok Bronikowskiego i *jakby za danem przezeń hasłem* budzi się historyczna powieść u nas. Każdy jego utwór napisany po niemiecku niebawem ukazaje się w języku polskim, rozrywany przez czytelników, rozpoznawany przez krytykę i autorów, podniecający do twórczości. Niemcewicz, Skarbek Bernartowicz *pierwsi składają hołd wpływowi przodownika*, ze słabemi i niepewnemi jeszcze krokami tych pierwszych pijonierów, ale znakomitych samą inicyjatywą, niebawem postępuje silniej wiedzą i talentem zbrojna falanga; i oto powieść historyczna polska dzisiaj dorasta rozmiarów europejskich, a nawet niektóre jej objawy innokrajowe wysoko przerasta... Bronikowski jest pierwszym pokładem fundamentem w budowie naszego historycznego powieściopisarstwa.“ (str. 6).

Gdyby w zdaniach powyższych była prawda, przedruk Hipolita Boratyńskiego i pomieszczenie go w Biblijotece najcelniejszych utworów literatury europejskiej byłby do pewnego stopnia usprawiedliwiony. Na nieszczęście jednak zdaniom tym przeczą dane historyczne i krytyczne.

A naprzód Bronikowski nie jest bynajmniej pierwszym pokładem czy fundamentem w budowie naszego historycznego romansu, gdyż jest nim ks. Krajewski, którego romanse dziejowe (np. Leszek Biały) z końca *przeszłego* stulecia, musimy uważać właśnie za ten fundament. Powtóre Bronikowski nie jest pierwszym u nas naśladowcą Walter Scotta i nie za nim to, nie za jego przewodem poszli mianowicie Niemcewicz, i Bernatowicz. Wszyscy trzej niezawiśle od siebie poszli za bardem Szkockim. Na jakim fakcie opiera autor przedmowy swoje paradoksalne przypuszczenie że nasi znakomici powieściopisarze byli naśladowcami naśladowcy; trudno nam zgadnąć. Niemcewicz bowiem pierwszą swoję historyczną powiastkę (Dwaj panowie Sieciechowie) napisał jeszcze w r. 1816, a drugą Jan z Tęczyna w r. 1825. Bernatowicz zaś wydaję Nierozsądne śluby w roku 1820 a Pojatę w 1826. Powieści zaś Bronikowskiego były tłomaczone i wydawane dopiero właśnie od roku 1826, w którym wyszły dwie mniejsze powiastki a głównie od 1828—30. Pojawiły się one cokolwiek wcześniej co prawda w języku niemieckim, ale wówczas albo żadnego nie mogły mieć wpływu na piszących i czytających, jako bardzo mało znane albo też bardzo niewielki. Bronikowski jest bezwątpienia *najpłodniejszym* z naszych naśladowców Walter-Scotta, ale nie był bynajmniej wzorem dla innych. Nie godzi się na rzecz autora, którego powieść nanowo się wydaje, umniejszać sławy innym zacnym pracownikom, którzy byli naśladowcami Walter Scotta ale nie byli naśladowcami Bronikowskiego. Niemcy nie wielką przywiązują wagę do jego powieści, tak że jeden z najlepszych krytyków spółczesnych u nich Rudolf Gottschal *w czterotomowej* historyi literatury niemieckiej XIX wieku *) mimochodem tylko o nim wspomina podnosząc jego „polską werwę“ —nie naśladujmy ich w tem lekceważeniu, gdyż bogactwo ich literatury nieda się z naszem porównać; ale też nie wystawiajmy się na śmieszność przeceniając znaczenie autora, jak uczniowie piszący na zadany temat pochwalny.

A jeżeli Bronikowski nie był ojcem naszego romansu historycznego w formie Walterskotycznej, to tem mniej należy mu się chwała późniejszego rozkwitu powieści pod piórem Rzewuskiego, Kaczkowskiego i Suffczyńskiego. Autor przedmowy raz zapędziwszy się w pochwałach, nie mógł powstrzymać biegu i sławy „zbrojnej talentem i wiedzą falangi“ przez odbicie na imię Bronikowskiego przelać się stara. Jest to usiłowanie zarówno nierozważne jak nieprawdziwe. Rzewuski, Kaczkowski, Suffczyński — to talenta bynajmniej nie naśladowcze, nie Walterskotyczne; ich dzieła

*) Die deutchs Nationalliteratur des XIX Jahrhundert. Breslau. 1872 tom, IV, 157.

osobną dobę w dziejach naszej powieści dziejowej stanowią.

*P. Chmielowski.*

## GOSPODARSTWO
## i
## Przemysł domowy.

**Grzyby.** Grzybem lub bedłką w ogóle zwą się rośliny najmniej wykształcone, krótko żyjące, stanowiące piątą gromadę (Mycatas) klasy dwudziestej czwartej, to jest skrytopłciowych wedle układu Lineusza. Pomijając wszelkie ich naukowe podziały, w życiu praktycznem dzielą się na *jadalne* i *jadowite*. Z powodu nadchodzącej pory grzybobrania i powtarzających się corocznie nieszczęśliwych wypadków z zatrucia grzybami, z powodu, iż dotąd nauka niezdołała między niemi przeprowadzić ścisłej linii demarkacyjnej, nie mogąc dopatrzyć stałych cech charakterystycznych któreby grzyby jadowite w licznych odmianach natrafiane od jadalnych dostatecznie odróżniały, dla uniknienia tych smutnych następstw zamierzyliśmy podzielić się z czytelnikami naszymi, nabytemi własnem doświadczeniem na tem polu zdobyczami. W ogóle uważać należy jeśli nie za jadowite, to przynajmniej jako podejrzane i wystrzegać się tych jeść, które w stanie surowym wydają nieprzyjemny zapach, mają smak ostry, gorzki lub ściągający za rozkrojeniem w krótce zmieniają swą barwę; grzyby bowiem jadalne mają woń miłą, przyjemną, aromatyczną, smak łagodny, nieco słodkawy. W ogóle wszelkie gatunki grzybów lub bedłek są smaczne, dość pożywne, lecz mimo tego należą do pokarmów mniej strawnych.

**Dwuwęglan sody** (Natrum bicarbonicum). Nie jedna z łaskawych naszych czytelniczek, rzuciwszy doraźnie oczkiem na powyższy tytuł pomyśli w duchu, cóż za związek powyższe alkali może mieć z gospodarstwem domowem lub kuchnią, a tymczasem jest on jednym z ważniejszych składników śpiżarni gospodyń angielskich. Jestto proszek biały, podobny do miałkiego cukru, smak ma słonawy, alkaliczny, w proszkach musujących połączony z kwasem, burzy się i pieni w wodzie.

Rozcieńczony w wodzie niszczy kwasy, rozmiękcza łykowate rośliny i rozkłada łuskwinę na jarzynach strączkowych.

Mleko i śmietana gdy nieco nadkwaśnieje, dodawszy doń cokolwiek dwuwęglanu sody, niezmieni swego właściwego smaku. Jeśli zaś w gotowaniu poczyna się warzyć, wtedy należy odstawić od ognia mleko lub śmietankę, przelać do wysokiego garczka wsypać dwuwęglanu sody, i gotować potem wciąż mieszając, choćby się podniosło i zakipiało. Wprawdzie zbiegnięte krupki nie rozpuszczą się, ale reszta mleka lub śmietanki nie będzie się już warzyć i będzie dobrą do użycia.

Ryż jak wiadomo kwasi mleko, więc i tu użyć dwuwęglan sody, podobnie i zupę migdałową, bo zawsze znajdzie się kilka kwaśnych migdałów, co zwarzą gorące mleko. Na tego trzeba dwuwęglan sody rozpuścić w mleku, a potem użyć bezpiecznie do migdałowej zupy.

Zjełczałemu masłu przywraca się smak utracony, gdy go się wypłucze w wodzie nasyconej dwuwęglanem sody, lub w tym rozczynie na noc pozostawi. Również masło przeznaczone na przechowanie, dobrze się konserwuje, jeśli dobrze wypłukanem i wymoczonem będzie w tym rozczynie, przez co zobojętnią się wszelkie kwasy tak statecznie wchodzące do jego składu, jak również następnie w niem powstające.

Piwo w lecie nadkwaśnione, dosypaniem do butelki nieco dwuwęglanu sody przed użyciem go na napój, zaszumi i będzie zdatnem do picia. Środek ten jest bardzo korzystnym dla wszystkich w ogóle szynkarzy, tak niemiłosiernie fabrykujących wszelkie gatunki piwa, jakie tylko mają pod ręką.

Powyższe alkali naprawia również i inne kwaśniejące płyny, a nawet rosół w którym wywiązują się kwasy z powodu pozostawionych w nim jarzyn. Chcąc bowiem rosół zabezpieczyć od skwaśnienia, należy go starannie zcedzić i oddzielić od wszelkich mięsnych i jarzynnych substancyj.

Wszelkie naczynia kuchenne jak garnki, rondle, słoje, faski i t. p. zakwaszone doczyszczą się należycie przez potoknięcie lub wymoczenie ich w rozczynie dwuwęglanu sody.

Za pomocą tegoż alkali strąca się również nadmierny kwas w zupach owocowych przez co niepotrzeba ich tyle dosładzać. Podobną oszczędność można również zaprowadzić z wielką korzyścią przy robieniu konfitur, soków, zwłaszcza przy wyrabianiu ich na większą skalę w widokach sprzedaży.

Jarzyny łykowate, twarde jak rzepa, brukiew, kalarepa gotują się wybornie, gdy do kwarty wody dosypie się na koniec noża dwuwęglanu sody. Również kalafiory, strączki grochu szparagowego, zimowy groszek zielony, jabłka twarde, również dobrze się gotują w tym rozczynie, a chcąc mieć pożądany skutek najlepiej zamoczyć je na noc w zimnej miękkiej wodzie, do której dodaje się rzeczone te alkali licząc łyżeczkę od kawy na kwartę wody.

Mięso twarde, łykowate, pochodzące z chudych i starych zwierząt, dobrze się również gotuje w wodzie rozcieńczonej dwuwęglanem sody.

Pod względem sanitarnym dwuwęglan sody nie tylko zdrowiu nie szkodzi, ale w wielu razach wiele mu dopomaga. Zobojętnia zbyteczne kwasy żołądkowe, zapobiega nadmiernemu wywiązywaniu się w nim gazów, jest dzielnym środkiem przeciw tak zwanej zgadze czyli paleniu w gardle, pochodzącym z niestrawności mianowicie tłustych pokarmów. Znany powszechnie z swych leczniczych skutków, apteczny specyfik pod nazwą: pastylki de Vichy, nie jest czem innem jak tylko dwuwęglanem sody odpowiednio przyrządzonym. Dla tego też Angielki, jako jedne z najracyjonalniejszych gospodyń, uważają kuchnię za prawdziwą aptekę domową, w obec dzisiejszych pojęć i rozwoju nauk przyrodniczych, wymagającą obok wprawy i odpowiednich wiadomości naukowych, mają w swych śpiżarniach zawsze pod ręką dwuwęglan sody używając go z korzyścią w danych razach, szczególniej zaś przy wyrobie powszechnie ulubionych pudingów, dla zobojętnienia kwasów tłuszczowych, tak groźne zwłaszcza dla słabo trawiących żołądków, sprowadzających skutki na zdrowie ludzkie.

Jakkolwiek nasze panie, bez żadnej nici przewodniej, postępując jedynie instynktowo, praktyką wspartą licznemi doświadczeniami, wytworzyły kuchnię polską, pierwszą w świecie pod względem dobrego smaku, pożywności i higijeny; — tak dalece, że nauka nieznalazła w niej nic przeciwnego coby odmienić mogła, dodać lub ująć, tak wszystko jest w niej dokładnem, wybornem i doskonałem. Mimo jednakże tych wszystkich zalet i przymiotów jakimi odznacza się nasza kuchnia w obec wszelkich innych narodowości, nasze panie chcąc ją utrzymać na pierwotnej stopie świetności, nie mogą pozostać obojętnymi na wszelkie nowsze postępy i odkrycia dokonywane w dziedzinie nauk przyrodniczych a tem samem i dwuwęglan sody zamieścić w swych spiżarniach i zastosować go do użytku w swych kuchniach, których jak dotąd, tak i nadal w w interesie dobra powszechnego powinny pozostać najwyższemi opiekunkami.

## ROZMAITOSCI.

*Sławny pływak.* W pierwszych dniach b. m. w Londynie, dokonał kapitan Webb przedsięwzięcie, które zaćmiewa wszystkie tryumfy najlepszych pływaków, nie wyłączając Boytona. Kapitan Webb 27-letni mężczyzna przepłynął, naturalnie podczas przypływu morza, z Blackwell do Grawesend, 20 mil angielskich w niespełna 5-ciu godzinach, nie mając na sobie żadnego specyjalnego gutaperkowego odzienia. Przez cały czas gdy płynął padał deszcz.

* * *

Piszą z Paryża: Byliśmy obecni przed tygodniem przy ciekawem doświadczeniu. Widzieliśmy ruszającą się lokomotywę bez pary, bez węgli, bez hałasu, zatrzymującą się lub podwajającą szybkość jakoby na znak maszynisty, a podzielamy podziw licznych inżynierów przypatrujących się temu wynalazkowi jednego z rodaków naszych, o którym poprzednio pisaliśmy, p. Ludwika Mękarskiego. Jest to samorodna maszyna o ścieśnionem powietrzu (á air comprimé), mająca bvć użytą do tramwajów lub też do kolei żelaznych miejscowych. Różni się ona od wszystkich prób dotąd w tym rodzaju robionych tem, że powietrze ścieśnione w chwili rozgrzewa się i miesza z pewną ilością pary wodnej, powiększa się przez to siła przy równym wydatku powietrza, tak że można dość znaczną przebiedz przestrzeń przy stosunkowo małym cylindrze. I tak z 800 litrami ścieśnionego powietrza, masz na nosząca 25 osób i ważąca 4,500 kilogramów, przebiegła więcej niż 3 kilometry na złej drodze o pochyłości 30 metrów; na drodze zaś zwyczajnej przebiegałaby z pewnością podwójną

przestrzeń. Żadnego hałasu, żadnego dymu, szybkość 10 do 15 kilometrów na godzinę, mogąca natychmiast zwolnić się do woli lub zwiększać się do 25 lub 30 kilometrów; oprócz tego oszczędność wynosiłaby trzy ćwierci wydatków, jakich wymaga używanie koni. Wszyscy inżynierowie serdecznie winszowali panu Mękarskiemu, i my mu winszujemy publicznie wynalazku, przynoszącego zaszczyt ziomkowi.

* * *

We Włoszech, w obozie pod Somma, gdzie jest zebrana armija na ćwiczenia, przedsięwzięto próby z użyciem welocypedów do przesyłania korespondencyi z generalnej komendy do dowódców korpuśnych i naodwrót. Próba udała się wybornie. Okazało się, że welocypedyści wielkie mogą oddawać usługi i zbytecznemi uczynić konnych ordynansów. Przebiegają oni 20 kilometrów na godzinę Gdy chodzi o przesyłkę na dalszą odległość urządzone być muszą stacyje; ale jednę stacyję przebywają nietylko bez wysilenia ale z wielką przyjemnością.

* * *

*Złodziej surowo ukarany.* Z New-Yorku donoszą, że Fernarda Garcia, który w lutym r. b. wykrajał z ram ołtarza w katedrze w Sevilli obraz Murilla, a który usiłował następnie sprzedać antykwaryjuszowi Schaus w New-Yorku, i przy tej sprzedaży był aresztowany, został wydany władzom hiszpańskim w Kubie, skąd przywieziony w kajdanach do Hiszpanii, po doraźnym sądzie w Madrycie, został rozstrzelany. Policyjantowi amerykańskiemu nazwiskiem Davies, który go na gorącym uczynku schwycił, rząd hiszpański wypłacił 10,000 dollarów.

* * *

*Samobójca książe.* Książe Scillo znajdując się na balu u krewnego swego w Neapolu, przez całą noc tańczył bardzo ochoczo. W końcu tak się roztańczył, iż obawiano się, czy nie dostał pomieszania zmysłów. Około godziny 5-ej rano, przerwawszy taniec, w największem rozdrażnieniu wybiegł z sali balowej i rzucił się w morze. Nieszczęśliwy pozostawił pięcioro dzieci.

## Odpowiedzi Redakcyi.

Panu A. S. Dobrogostowi. Wierszyk „Zapały“ nie ma żadnej wartości poetycznej, ani pod względem myśli, ani pod względem formy. Dwa drugie odznaczają się dobrą myślą, ale brak im prawdziwie poetycznego obrobienia. Ton satyryczny w ostatnim wierszyku gdzieniegdzie dosyć udatnie pochwycony. Jeżeli to młodzieńcze próby, to, kto wie, nie trzeba tracić nadziei. Może w przyszłości pegaz pański doścignie bram Olimpu. Chciałeś pan szczere wypowiedzianego zdania. Daruj więc, że nie obwijaliśmy w bawełnę. „Wycieczkę do Puław“ bądź pan łaskaw przysłać, a po przejrzeniu zobaczymy czy się nam przyda.

# OGŁOSZENIA.

Szkoła 4-ro klasowa męzka z klasą przygotowawczą i pensyjonatem dla młodzieży Izraelskiej, ulica Dzielna N. 8. Z d 10 Sierp. rozpoczął się zapis uczniów na rok szkolny 1875/6, w którym kurs nauk ściśle zastosowany do programatów obowiązujących dla czterech klas gimnazyjalnych. Przyjmuję tak przychodnich uczniów, jako też i pensyjonarzów, którym, obok gruntownej pomocy we wszystkich przedmiotach, przez odpowiednich nauczycieli udzielanej, zapewnia się konwersacyja w językach nowożytnych, przez stałych miejscowych guwernerów jak najstaranniej prowadzona. Zapis odbywać się będzie codziennie od godziny 9-ej rano do 2-ej i od 4-tej do 7-ej po południu. Przełożony Szkoły B. L. Segal, Prof. I Progimnazyjum Męzk. i IV Żeńskiego Gimnazyjum.

Czyniąc zadosyć powszechnemu żądaniu Rodziców i Opiekunów kształcącej się młodzieży, mam zaszczyt podać do wiadomości publicznej, iż, na mocy decyzyi J. W. Kuratora Okręgu Naukowego Warszawskiego z dnia 30 Czerwca (12 Lipca) r. b. N. 5805, utrzymywaną przezemnie szkołę cztero-klasową Męzką Filologiczną, przekształcam, z początkiem roku szkolnego 1875/6 na **Szkołę Cztero-klasową Realną,** z kursem odpowiednim tymże klasom szkół realnych rządowych.

Do zakładu przyjmowani będą uczniowie **przychodni, pensyjonarze i półpensyjonarze.**

O warunkach dowiedzieć się można w kancelaryi Zakładu na rogu ulicy Rymarskiej i Leszno, w domu p. Heüricha N. 5 i 1, codziennie od godziny 9 z rana do 7 wieczorem.

Zapis uczniów trwać będzie od 4 (16) Sierpnia do rozpoczęcia lekcyi w dniu 11 (23) tegoż miesiąca i roku.

Inspektor b. Szkoły Powiatowej Specyjalnej w Warszawie, Radca Kollegijalny

**Józef Górski.**

## KANTOR

**Stręczeń Służących** pod Nr. 109 (nowy) **róg Piwnej i Krakowskiego Przedmieścia.**

Posiada w każdym czasie dobór **służących** obojga płci, w chlubne świadectwa zaopatrzonych.

**J. Łuczyński.**

Otwierając z pozwolenia Władzy

## Pensyją Żeńską

podaję do wiadomości osób, które zechcą zaszczycić mnie swojem zaufaniem, powierzając mi swoje dzieci, że zapis uczennic rozpocznie się w zakładzie moim z dniem 16 Sierpnia, a kurs nauk z dniem 1 Września. Wszystkie nauki wykładane będą w tym samym zakresie co i na innych pierwszorzędnych pensyjach, dobór zaś nauczycieli i nauczycielek, daje mi rękojmią postępu przyszłych moich uczennic. Panienkom, które by rodzice pragnęli umieścić w moim zakładzie stale, jako pensyjonarki, zapewniam sumienny dozór, porządek w mieszkaniu i życiu, o czem w krótkim czasie sami Rodzice i Opiekunowie przekonać się będą mogli.

Osoby interesowane zgłosić się zechcą do mojego mieszkania. Plac Ś-go Aleksandra Nr. 14.

**Antonina z Łętowskich Łuba,**
b. Wychowanka Aleksandryjskiego Instytutu.

Z pozwoleniem Zwierzchności szkolnej przyjmuję na stół i stancyją uczniów zapewniając najtroskliwszą opiekę. Bliższa wiadomość **Leszno N. 22** na drugiem piętrze od god. 9 rano do 6 wieczorem.

## U akuszerki Stedler,

przy ulicy Stare-Miasto N. 21 nowy, jest Pokój na 1-m piętrze, dla osoby będącej w stanie poważnym, z wszelkiemi wygodami jakie w tym razie mogą być wymagagane, za cenę stosownie do umowy; przyjmują się także kobiety niezamożne, jako to służące, kobiety pozbawione obsługi domowej, za rubli sześć, z pomocą lekarską, jeżeliby takowa okazała się potrzebną.

Cennik węgla kamiennego w składach moich: 1-szy przy ulicy Leszno Nr. 68, 2-gi Karmelicka Nr. 5.

| | | |
|---|---|---|
| Korzec najlepszego węgla | Rs. 1 | kop. — |
| „ średni z odstawą | „ — | „ 85. |
| „ krajowy „ | „ — | „ 80. |

Zamówienia uskuteczniają się tegoż samego dnia.

**A. Putterman.**

Uzyskawszy pozwolenie właściwej władzy, otwieram z dniem 1 Sierpnia r. b. Szkołę prywatną żeńską przy rogu ulicy Wilczej i Marszałkowskiej Nr. 17. Przyjmuję stałe i przychodnie uczennice, zapewniając jednym i drugim troskliwą opiekę i moralne wychowanie, równie jak staranną naukę. Prócz tego, powierzone mi dziewczątka nauczać będę robót ręcznych i gospodarstwa kobiecego. Wpis rozpocznie się 20 Lipca, a kurs nauk 1 Sierpnia r. b.

**Bronisława Hempel.**

## W Zakładzie Naukowym Żeńskim

zostającym pod kierunkiem

**Antoniny Kaweckiej,** przy ulicy Karmelickiej Nr. 19-ty, kurs nauk rozpoczyna się dnia 1 Września. Zapis uczennic tak przychodnich jak stałych codziennie od godziny 10 rano do 12 i od 3 do 5 po południu.

## Akuszerka A. Halmel

Ulica Nowy świat Nr. 52 ma **pokoje** umeblowane od frontu, każden z osobnem wejściem. Osoby spodziewające się słabości, znajdują u niej wszelkie wygody i najtroskliwszą opiekę za umiarkowaną cenę.

## Rekomendacyja Nauczycielska

**Barbary Sieńkiewicz**

Nowy Świat Nr. 33.

## KSIĘGARNIA

## S. CZARNOWSKIEGO i S-ki

**w Warszawie.**

Otrzymała w komis i poleca do nabycia w znaczniejszych swych Agenturach na prowincyi, następujące dzieła:

| | rs. | kop. |
|---|---|---|
| **Czepieliński,** kurs języka francuskiego cz. I. | — | 20 |
| — Mała gramatyka polska, cz. I. | — | 40 |
| **Dixon,** Ziemia święta | 1 | 50 |
| **Thirifoq,** Kurs kroju sukien | — | 45 |
| **Kolęda,** dla dzieci | — | 15 |
| **Sen** dziewczynki | — | 3 |
| **Upomnienie** ludu wiejskiego | — | 2 1/2 |
| **Zschokke,** Precz z gorzałką | — | 17 1/2 |
| Biblijoteczka dziesięciogroszowa: | | |
| **Dzieci** dobroczynne | — | 5 |
| **Przejażdżka** do Prus | — | 5 |
| **Zwaliska** starego zamku | — | 5 |
| **Dziennik** podróży | — | 5 |
| **Krasicki,** Bajki i przypowieści | — | 5 |
| **Krótka** nauka o spowiedzi | — | 5 |
| **Częstochowa** | — | 5 |
| **Kochanowski,** Poezyje | — | 5 |

Taż Księgarnia i jej kantory przyjmują w każdym czasie przedpłatę na czasopismo Opiekun Domowy, którego komplety tegoroczne, jak również z lat dawniejszych, dostarczają na każde żądanie.

W szkole 3 klasowej męzkiej **z kierunkiem realnym** przy ulicy Leszno Nr. 25 przyjmują się uczniowie przychodni i pensyjonarze do klasy I, II i III a także i zupełnie początkowi. Bliższe informacyje udziela się codziennie w kancelaryi szkoły.

*Przełożony szkoły*

**Ludwik Wyrożembski.**

Дозволено Цензурою. Варшава 13 (25) Августа 1875 г. — W drukarni E. Skiwskiego, — Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.